Nr. 12. Warszawa, dnia 24 (12) Marca 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

FILOZOFIJA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty i prosimy o wczesne nadsyłanie jej dla uniknięcia przerwy w odbiorze pisma.

POLITYKA.

UMOWA RUSKO-NIEMIECKA.

II.

Umowa, która z dniem 20 marca zaczęła obowiązywać zarówno Niemcy, jako też Rosyę, bynajmniej nie poprzestała na obniżeniu opłaty celnej, lecz sięgnęła dalej. Reguluje bowiem naprzód wzajemne prawa poddanych jednego z wymienionych państw w granicach drugiego, a zatem przepisy, jakim podlegać mają oni czy to co do swej własnej osoby, czy też nabytej własności. Następnie, co jest rzeczą daleko ważniejszą, zawarty traktat potrąca nawet o tak ważny szczegół polityki wewnętrznej, jakim są taryfy kolejowe. Znaczenie oddzielnych miast w kraju, ich rola handlowa i w dalszym ciągu dziejowo-polityczna kształtowały się niegdyś w zależności od biegu rzek. Wiek pary, powołując do życia koleje żelazne, zniósł to naturalne koryto rozwoju i sieć sztucznych dróg uczynił arteryą, rozstrzygającą o rozmieszczeniu w kraju sił wytwórczych. Ale nad nowoczesnymi środkami komunikacyjnymi panuje wola państwa, uwidoczniająca się w regulowaniu taryfy przewozowej. Rząd więc posiada w swojem ręku istotną dźwignię wywoływania pożądanych skutków—rozumie się w pewnym stopniu, o ile na to pozwala elastyczność sił wytwórczych. A znaczenie taryf kolejowych jest tak potężnem, że nawet najkorzystniejsza umowa handlowa może spełznąć na niczem, jeżeli strona przeciwna ma swobodę dowolnego w tej mierze czynu i używa jej na przeciwdziałanie ustępstwom, które zastrzeżono w traktacie. Otóż zawarta umowa również reguluje w pewnym zakresie tę sferę polityki wewnętrznej. W jakim—poznamy później. W ten sposób wojna celna, która od niejakiego czasu toczyła się pomiędzy Rosyą a Niemcami, została zażegnana na względnie długi przeciąg czasu. Pierwszy krok na tej drodze zrobiono w r. 1890, kiedy kurs rubla zaczął szybko podnosić się do góry. Rząd ruski, chcąc zrównoważyć straty, spowodowane temi zmianami, podniósł taryfę celną o 20%. Później nastały dalsze podwyżki podobnej natury, aż wreszcie oba sąsiadujące z sobą mocarstwa nadały cłom pogranicznym nawskroś piętno bojowe. Rosya wprowadziła odmienną opłatę celną wzdłuż swojej granicy lądowej i morskiej, co dotknęło silnie dowóz z Niemiec węgla kamiennego i rudy żelaznej — produktów, dla których transport morzem okazał się niemożliwym. Natomiast Niemcy na zboże, przechodzące granicę z Rosyi, nałożyły cła wyjątkowej wysokości, równające się niemal zakazowi.

Zawarty traktat usuwa te taryfy wojownicze. Obowiązywać ma on przez lat dziesięć, tj. przez okres bardzo znacznej długości, jak na stosunki ekonomiczne. Zniża on w bardzo silnym stopniu haracz, opłacany z jednej strony przez zboże ruskie przy wejściu w granice Niemiec, z drugiej zaś uiszczany przez wyroby przemysłu niemieckiego przy wejściu do Rosyi. Teoretycznie, skutki jego przedstawiają się nader prosto. Zboże ruskie winno podnieść się w cenie, dzięki otwarciu nowych rynków, i to z dwojakiego rodzaju powodów. Naprzód współzawodnictwo pomiędzy miejscowymi rolnikami się zmniejszy, a następnie ceny winny iść do góry. Powtóre, istnieje jeszcze druga, donioślejsza przyczyna. W kraju takim, jak Rosya, produkującym zboże na wywóz, zamknięcie tak obszernego, jak niemiecki, rynku i podniesienie taryfy celnej, wobec konieczności odpływu produktów rolnych za granicę, musiało wywołać zniżkę, któraby pokryła uiszczany haracz celny. W technicznym żargonie mówi się, że na import padają koszty ceł. To odbicie się taryfy celnej na imporcie wywoływa w ciągu dalszym zniżkę cen zboża na całym rynku krajowym. Z drugiej strony ułatwienie dostępu dla zagranicznych fabrykantów może oddziałać ujemnie na niektóre sfery przemysłu ruskiego. Słowem, następstwa zawartej umowy ze stanowiska teoretycznego przedstawiają się nader prosto i każdy podręcznik ekonomii politycznej, jeżeli tylko celowo nie będzie fałszował prawdy i nie poświęcał jej na ołtarzu interesów ziemiaństwa lub świata przemysłowego, lub bujał po mglistem niebie bezwzględności, zdołałby nam wyjaśnić całą sprawę. Ale, niestety, co teoretycznie bywa jak najsłuszniejszem, temu praktyka nieraz zadaje kłam stanowczy. Naturalnie, nie oznacza to, ażeby teorya była omylną, lecz świadczy tylko o tem, że życie jest bardziej złożone, aniżeli sfera czynników, uwzględnionych w teoryi. Niewątpliwie umowa sprowadziłaby skutki, przewidziane przez podręcznik, gdyby prócz taryfy wszystkie inne okoliczności pozostały bez najmniejszej zmiany. Ale traktat rzucony został na tło olbrzymiego zbiorowiska bezustannie przekształcających się stosunków. Niektóre z nich mogą tak wyrosnąć i spotężnieć, że całkowicie zniosą działanie, obliczone przez teoryę. Któż z ziemian niemieckich, którzy głosowali swojego czasu za cłem od zboża, mógł przewidzieć, że mimo tej ochrony, ceny produktów rolnych spadną? Trudno wiedzieć, jakie czynniki mogą przemówić za rok, dwa albo pięć. Dosyć, ażeby kurs rubla poszedł w jednym lub drugim kierunku, aby zamorska konkurencya zbożowa dalej wzrastała według dotychczasowej skali, a jak nieprzewidzianym zmianom uledz może przepowiednia

teoryi! Z tego powodu cofamy się stanowczo przed wszelkiemi wróżbami, nie chcemy bowiem być podobni do tego, który laską pisał na wodzie i wydziwić się nie mógł, że zwierciadło wód nie dochowało śladów jego pracy. Poprzestaniemy jedynie na podkreśleniu tego, że dążności umowy biegną w kierunku, wskazanym przez teoryę. Co zaś przyniesie rzeczywistość, o tem wróżyć nie mamy odwagi.

Wśród pewnego grona warszawskich kupców zbożowych panowało do ostatniej chwili i może panuje nawet obecnie przeświadczenie, że niepodobna spodziewać się po zawarciu umowy podwyższenia cen. A owym kupcom można w danym wypadku bardziej zaufać, aniżeli teoretycznym, oderwanym od miejsca i czasu przepowiedniom z podręczników. A tymczasem na samą wieść o dochodzeniu do skutku umowy, ceny zboża na miejscowym rynku podniosły się o kilkanaście kopiejek na korcu. Czy ta zwyżka jest chwilowa, czy może wypływa z innego źródła? Nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć, zostawiamy jedynie wróżby mężów praktyki z głosem samej praktyki, ażeby jeszcze raz podkreślić tę prawdę, że sztuka prorocka jest chyba najniewdzięczniejszą ze wszystkich.

Natomiast zatrzymamy się nad charakterystyką tych warunków, wśród których do dawnych obecna umowa dorzuca nowy czynnik, kształtujący ceny. Niemcy, jak wiemy, poczyniły bardzo wielkie ulgi dla zboża, napływającego z Rosyi. O tem da nam najlepsze pojęcie następująca tabliczka wysokości opłaty celnej za zboże.

Taksa celna za 100 kilogramów (w markach):

	taryfa ogólna niemiecka	konwencyjna z kilku państwami	bojowa względem Rosyi	obowiązująca na mocy traktatu względem Rosyi
pszenica i żyto	5.00	3.50	7.50	3.50
owies . . .	4.00	280	6.00	2.80
jęczmień . .	2.25	2.25	3.37	2.00

Inne gatunki zboża, wyliczone w traktacie, opuszczamy, jako będące mniejszej wagi. A zatem, jak widzimy, ulgi są bardzo znaczne. Zboże ruskie otrzymuje na rynkach niemieckich te same prawa, jakie na mocy konwencyi miały dotychczas ziemie korony habsburskiej oraz od niedawnego czasu Rumunia. W zakresie zaś jęczmienia ustępstwa, zrobione przez Niemcy, idą jeszcze dalej, bo cło zostało zmniejszone niżej normy konwencyi z innemi państwami. Słowem, dostęp na rynki niemieckie został znakomicie ułatwiony.

Powstaje teraz inne pytanie, mianowicie czy zboże ruskie odniesie z tego spodziewane plony i w jakim stopniu. Zagadnienie to nie jest tak prostem, jakby się wydawało na pierwszy rzut oka, gdyż w ciągu trwania wojny celnej na zbożowym rynku niemieckim usadowili się różni współzawodnicy, których może nie uda się wyprzeć ze zdobytego stanowiska. A jest to rzecz bardzo wielkiej wagi, od takiego bowiem lub innego zwrotu zależą wszystkie korzyści, na które liczą nasi ziemianie. Niemcy w obecnej chwili w żaden sposób nie pokrywają własnem zbożem potrzeb swojej ludności, ów zaś deficyt w zakresie pszenicy wynosi 20—30%, dla żyta około 12% całej krajowej komsumcyi, co zaś do jęczmienia, dowóz zagraniczny winien pokryć mniej więcej 25% spożycia. Ruskie zboże niegdyś głównie zadość czyniło temu niedoborowi niemieckiemu. W okresie 1884—1891 Rosya dostarczała do Niemiec od 43 do 53% ogółu sprowadzanej pszenicy. Jeszcze poważniej wyglądały rozmiary żyta, płynącego z Rosyi do Niemiec. W ciągu lat 1883—1890 dowóz ów wynosił od 53% aż do 87% całości. Sytuacya ta ostatnimi czasy uległa radykalnej zmianie. Dowóz pszenicy z Rosyi, który w r. 1891 wynosił 58% sumy całkowitej, w r. 1891 spadł na 11,7%, w ubiegłym zaś na 3,1%. A jednak Niemcy nie odczuły najmniejszych zakłóceń z tego powodu, który przed dziesiątkami lat wywołałby nader poważne zaburzenia w sferze ekonomicznej. Rozwinięty system komunikacyjny zapobiegł i temu, umożliwiając zaspokojenie potrzeb spożycia z innych źródeł. A co ważniejsza, próżnię, która powstała skutkiem przerwanego dowozu z Rosyi, zgoła nie zajęła pszenica austryacko-węgierska, jak tego należałoby się spodziewać z blizkości oraz istnienia odpowiedniej konwencyi. Od roku 1889 dowóz jej na rynki niemieckie systematycznie spada: w r. 1889 wynosił on 26%, w ubiegłym zaś tylko 3,4%! Natomiast w Niemczech rozwielmożniła się pszenica amerykańska, jej pozycye z roku na rok wzrastają równolegle z ubytkiem ziarna ruskiego i austryackiego. Obok zamorskiej zjawiła się też w obfitości pszenica naddunajska. Podobnie działo się w zakresie dowozu żyta. Z powodu zatamowania jego transportów z Rosyi, rynki niemieckie również nie doznały zakłóceń: producentów znalazły gdzieindziej. Słowem, w ciągu ostatnich dwóch — trzech lat dokonał się istotny przewrót na rynku niemieckim w sferze dowozu. Miejsce, opróżnione przez jednych, zajęli drudzy. Otóż teraz zachodzi pytanie, jak ukształtują się te stosunki rynkowo nadal w następstwie dojścia do skutku umowy celno-handlowej. Żadna teorya niczego przewidzieć tu nie zdoła. Przy jednakich warunkach produkcyi zależy wiele od tego, kto dzisiaj zajmuje pozycyę; nawet przy gorszych po czyjejś stronie okolicznościach produkcyi, rozstrzyga ruchliwość współzawodników. W całej pełni decyduje tutaj praktyka. Teoretycznie biorąc, umowa winna otworzyć dla zboża ruskiego rynki niemieckie i w ciągu dalszym podnieść ceny na miejscowych; faktycznie może to nie nastąpić skutkiem działania czynników, tamujących

---

2)

JERZY GROT.

DZIEŃ POWSZEDNI.

Z wysokości jednokonnej dryndy świat się przedstawia marnie: obrzydliwe błoto wielkomiejskie, cieniutko rozsmarowane po bruku i chodnikach, przygarbiony woźnica i koń śmiesznie wyrzucający lewą łopatkę. Czuję pewien rodzaj wstydu przy użyciu tego pojazdu. Nawet nie zupełnie rozumiem, czy wstyd ów płynie z powodu obrzydliwego zaprzęgu, czy z powodu fałszywości położenia mego wytartego paltota na tej patelni, którą wszakże ludzie uważają za rodzaj zbytku.

Właściwie powinienem się raczej wstydzić porannego „katzenjameru,“ przez który znowu zmartwiłem Jadzię...

Mniejsza o to — są pieniądze, a czas już sprawić jej okrycie — dawno czas. Ma się już stanowczo ku deszczom.

Na rogu ulicy poznaję wysoko zakasane spodnie i wypłowiały parasol kolegi — pedagoga z Żabiej ulicy. Dziwnym wstrętem przejmuje mię ten widok monotonnego ciapania ostrożnie stąpających nóg biedaka. Odwracam głowę, co w połączeniu ze zbytkowną dorożką zgubi mię w demokratycznej opinii kolegi i gotów jestem znowu rozsypać się w szeregu filozoficznych refleksyi... O bohemo!

Przed bramą przypominam sobie znowu o papierosach, bo mię drapie w gardle. W sklepiku, rzecz jasna, nie mogą zmienić 25-rublówki — muszę czekać, bo i dorożkarz nie ma „tyle pieniędzy,“ tyle pieniędzy!

Wreszcie przemija spóźniona godzina — znowu dorożka — i już jestem w porządku z ostatnią lekcyą.

Ponieważ młody syn zamożnych rodziców, kształcący się w fizyologii, jest umysłem niezmiernie krytycznym, więc spotyka mię na niej małe, dość często zdarzenie. Młodzieniec lubi mię łapać na sprzecznościach.

— Proszę pana — pan kiedyś wspominał, że ryby także mają ciepłą krew.

— Więc?

Młodzieniec zaczyna wolno, ale kończy bełkotem — tak mu pilno olśnić mnie krytycyzmem.

— Po pierwsze, ja sam niedawno brałem żywą rybę do ręki i zrobiłem doświadczenie, że zimna... A powtóre — dla czegóż one nazywają się zwierzętami zimno-krwistemi?

Czuję, że trzeba rzecz po prostu wytłómaczyć — czuję, ale jestem zdenerwowany tym tonem tryumfującej zarozumiałości — i odpowiadam cierpko, z irytacyą...

Teraz na upartego mógłbym wstąpić do domu i oddać Jadzi pieniądze; mogłaby zaraz pójść po okrycie. Ale muszę jeszcze coś zjeść i wpaść do księgarni. Czeka mię tam prawdziwy rachunek sumienia i czyściec!

Szybko i nizko jak dymy pędzą w ołowianej głębi nieba rozrzedzone obloki. Deszczu już niema — tylko ziębiąca przenikliwa wilgoć spełza zewsząd niewidzialnemi kroplami i nadaje dachom i kamienicom martwy, błotny połysk. W takie dni żółć wysiąka gdzieś do wnętrza i przepaja cały organizm jakąś goryczą nieuzasadnioną i ustawicznem rozdrażnieniem. Nawet beznamiętne kolumny cyfr w księgach buchhalteryjnych, które przez małe dwie godzinki prowadzę — nawet one zdają się złośliwie jak żmijki wysuwać do góry... Wszystko wywołuje jakieś ślamazarne refleksye, pełne źle maskowanego egoizmu... Dobrze, że nie poszedłem do domu: Jadzia napewno coś łatała lub cerowała — nie lubię tego widoku. I ona nie lubi, kiedy bywam obecny przy tajemniczych obrządkach t. z. ogniska rodzinnego. Są to godziny, w których kąpie Maryjkę, gotuje obiad, ceruje, łata i odradza z popiołów swe feniksy toaletowe. Czy ja wiem, czego ona nie zrobi w ciągu tych kilku godzin? Swoją drogą czwarta mogłaby już uderzyć, bo po prostu wściekle jestem głodny.

II.

Kwadrans po czwartej. Żuczek śpi pod muślinem, Antek układa w tornistrze, Jadzi niema.

— Gdzież mama?

— Mamusia powiedziała, że prędko wróci.

— Djabli nadali! wiecznie jakieś interesy, o których ja nic nie wiem. Nie mogła

tę dążność. Wreszcie należy wziąć pod uwagę jeszcze innego rodzaju warunki. Jak wykazało doświadczenie, wobec łatwości komunikacyi dowóz zaczyna w bardzo wysokim stopniu zależeć od tak zwanego agio. Dość, aby ceny srebra spadły niżej i dały fermerom amerykańskim ten sam dochód z ziemi, mimo niższych cen (w złocie) zboża na rynkach niemieckich; dość znów, ażeby kurs rubla podniósł się, a już wszelkie dodatnie dla ruskiego ziemiaństwa korzyści z podpisanego traktatu mogą okazać się sparaliżowanemi.

Widzimy tedy w grze mnóstwo czynników. Prócz otwarcia granicy, idzie o ukształtowanie wzajemnego współzawodnictwa na rynku niemieckim, o kierunek transportów zbożowych, zależny od międzynarodowego *agio*. Wpływy te mogą wydać bardzo odmienny rezultat. Ale nawet, gdyby zawarcie umowy nie podniosło cen na zboże ruskie, to jeszcze nie dowodziłoby, że traktat jest bezowocny. I w tym wypadku na szali kursu zboża zaważył on — dodatnio ze stanowiska ziemiańskich interesów Rosyi.

W.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Od środy traktat handlowy rusko-niemiecki wszedł w życie, a nowe taryfy zaczęły być stosowane na komorach obu państw. Zarówno Wilhelm II, jak Caprivi uważają doprowadzenie do skutku tej umowy za bardzo ważne swoje zwycięztwo, gdyż pierwszy z nich obdarza orderami i podziękowaniami wszystkich, którzy mu w niej dopomagali, drugi zaś — przyjmuje powinszowania z najrozmaitszych stron. Ponieważ w treści układu trudno dostrzedz wyraźnej przewyżki korzyści ze strony niemieckiej, więc prawdopodobnie cesarz i kanclerz są tak zadowoleni z poprawy stosunków politycznych między sąsiadami, którą traktat z konieczności pociąga za sobą. Nie ulega wątpliwości, że odtąd Niemcy widzieć będą w Rosyi raczej przyjaciółkę, niż przeciwniczkę, o co im bardzo chodzi.

Jeśli wierzyć mamy doniesieniom telegraficznym, konserwatyści są poprostu wściekli na rząd za przeprowadzenie tego traktatu. Zapomnieli oni zupełnie o swej wierności dla tronu i bezwzględnem posłuszeństwie monarsze, buntują się, złorzeczą i grożą wojną całej polityce gospodarczej „nowego kursu.“ Ratując pozory swej krnąbrności, atakują oni wyłącznie Capriviego i usprawiedliwiają cesarza z błędu tem, że ma on złych doradców. Ta wszakże względność zaczyna już być bardzo niegrzeczną, gdyż odmawia Wilhelmowi II własnego zdania i znajomości rzeczy, o co on niezawodnie prędzej lub później się upomni i uderzy junkrów jednym z tych aforyzmów, których używać lubi i które oni już nieraz boleśnie odczuli. Tymczasem wyjechał na odpoczynek do Abazyi.

Po figlu Labouchera, którego wniosek, odejmujący lordom prawo unieważniania ustaw, przyjęty został przez Izbę gmin wbrew woli rządu, cały gabinet znalazł się w przykrem położeniu. Chociaż uchwałę tę powzięto tylko dwoma głosami większości, ale w kraju tak ściśle konstytucyjnym, jak Anglia, jeden głos wystarcza do obalenia rządu. Zaskoczony tą niespodzianką lord Roseberry, myślał już, że skończyło się jego krótkie panowanie, gdy na szczęście wynaleziono sposób unicestwienia wniosku Labouchera, mianowicie poddano głosowaniu całą odpowiedź na mowę tronową (do której on był przyczepiony) i odrzucono ją, przyjąwszy natomiast tekst inny, zupełnie bezbarwny.

Pomiędzy jedną a drugą naszą kroniką pęka tyle bomb w rozmaitych punktach Europy, że niepodobna spisywać wszystkich tych zamachów. W Hiszpanii, Włoszech, Anglii — słychać ciągle te złowrogie huki. W zeszłym tygodniu jakiś szaleniec chciał położyć bombę w kościele paryskim św. Magdaleny, ale wybuch nastąpił przedwcześnie i rozerwał sprawcę. Ponieważ świątynia ta należy do najwspanialszych i najcenniejszych budowli, chęć zniszczenia jej była już nietylko występkiem moralnym, ale i artystycznym. Rzeczywiście trzeba posiadać w sobie dużo fanatyzmu burzycielskiego, ażeby targnąć się na ten pomnik architektury.

Było to praktyczną koniecznością i logicznym wynikiem ostatnich przywłaszczeń terytoryalnych, że Francya postanowiła utworzyć osobne ministeryum dla swych kolonij. Sprawy ich nie mogły już być załatwiane w połączeniu z innemi, lecz musiały otrzymać własne kierownictwo. Izba już uchwaliła odpowiedni fundusz na uorganizowanie władz, ale senat odłożył swoje pozwolenie, czem wplątał się z nią w zatarg, który trzeba było załatwić dodatkowem posiedzeniem.

W Belgii zaczął się znowu trząść grunt pod stopami gabinetu ministeryalnego. Podobno jego prezes wręczył prośbę o dymisyę. Tyle razy to już było!

W każdym razie mniej, niż „ostatecznych“ zwycięztw partyi rządowej w Brazylii. Zupełnie jak owe „ostatnie przedstawienia“ cyrków, po który następują „nieodwołalnie ostatnie,“ za wiadomością o zupełnem rozbiciu powstańców, którzy już tylko mieli błagać o łaskę, przybyła do Europy inna, donosząca, że wojska rządowe zostały pobite. Nie, to chyba jeszcze nie „nieodwołalnie ostatnie przedstawienie.“

Kossuth umarł w Turynie.

BADANIA NAUKOWE.

POGLĄDY FILOZOFICZNO-BIOLOGICZNE AUGUSTA WEISMANNA.

Prof. August Weismann, zoolog freiburski, jest bezsprzecznie jednym z największych współczesnych myślicieli-biologów. Postać to wielce sympatyczna, umysł jasny, głęboki, rozważny i nawskróś syntetyczny, aczkolwiek nieco zanadto spekulatywny. W nau-

pół godziny zaczekać — wie, że nie cierpię sam jeść obiadu.

— Nie wiesz dokąd poszła?

— Nie wiem... posłaniec po mamusię przychodził.

— Dawno?

— Jak tylko mamusia ułożyła Maryjkę.

— Obiad jedliście?

— Mamusia tatusiowi zostawiła.

Przed chwilą byłem wściekle głodny, a teraz ledwie mogę dotknąć potraw. Zwłaszcza irytuje mię sakramentalne jabłko na spodeczku — znak pieczołowitości małżeńskiej. Tyle przecież razy mówiłem, żeby mi dawała to, co wszyscy jedzą.

— Antek, miałeś jabłko?

Antek mi odpowiada wprost:

— Mamusia to dla tatusia zostawiła.

— No, to zjedz sobie.

Antek się waha.

— Zjedz-że, kiedy ci mówię.

Zegar cyka monotonnie, czasem pod muślinem westchnie Maryjka. Czuję głuchy przypływ złości, wzmagającej się ilekroć kroki na schodach, które mimowoli śledzę, ucichną gdzieś niżej. Jakie ona ma interesy? Pewnie jakieś głupie zebranie celem „porozumienia się“ czy coś podobnego. Jabłko na złość mi zostawi, ale o tem, czego nie cierpię, nie pamięta. Chce mi się chodzić po pokoju, ale nie mogę, bo obudzę Maryjkę.

— Czego się wałęsasz po kątach, Antek.

— Ja tak proszę tatusia.

Obserwuję chłopca, którego mi się robi trochę żal, bo ma minę mocno zafrasowaną. Cóż on ostatecznie winien?

— Nie wyrywali cię więcej? Antek widocznie czekał na to zapytanie.

— Owszem, tatusiu — dostałem piątkę z arytmetyki i trójkę z kaligrafii.

Właściwie, w głębi duszy, jestem zadowolony z chłopca, bo nawet współczuję jego niechęci do kaligrafii, ale nie umiem się oprzeć jakiejś pokusie dręczenia.

— Czemuż trójka z kaligrafii?

Antek coś mi tłomaczy o piórze gęsiem i stalowem. Później małą chwilę poczekawszy, zbliża się znowu.

— Proszę tatusia? czy ja mogę pójść do Władka?

— Po co?

— Bo oni pójdą obejrzeć tę panoramę.

— A lekcye umiesz?

— Umiem — mamusia przesłuchała.

Milczę dość długo, chociaż chłopak mieni się na twarzy w niepewności.

— No, idź — jeżeli z ojcem Władka. Masz czterdziestkę.

— Ja mam proszę tatusia — mamusia mi dała.

— Bierz że, kiedy daję!

Do pasyi mię doprowadza to ciągłe wypominanie mamusi. Mądra mamusia: poszła w leciutkiej pelerynce, żeby się zaziębić z pilnego interesu. I znowu płyną chwile złośliwego oczekiwania, a myśl ciągle powraca do tego samego punktu — dokąd ona poszła?

W pokoju panuje porządek — na stoliku jej leży jakiś foliał: „Nauka o rzeczach.“ Cóż za nowa mania pedagogiczna? Zabieram księgę na sofę i przez chwilę wertując ją zapominam o złym humorze, który się czai gdzieś w głębi.

Nareszcie! — Lekkie kroki zatrzymują się przy słomiance kuchennej, po chwili słyszę klucz w zatrzasku.

— Jest Józio? — dolatuje szept z kuchni. Milczę.

Jadzia wchodzi trochę zażenowana i zatrzymuje się na palcach, spojrzawszy na sofę.

— Józiu śpisz?

Milczę. Po chwili zawraca i zbliża się do drzwi Maryjki.

— Powiedz mi, gdzieś ty łaziła?

Jadzia znowu nieruchomieje, przerażona skrzekiem mojego głosu.

— Wszystkie te twoje latania skończą się chorobą w domu.

Chciałbym, żeby mi odpowiedziała cierpko, ale jeszcze nie.

— Mój drogi — musiałam wyjść, bo Zosia przysłała, żebym koniecznie przyszła na Wilczą.

— Co mnie twoja Zosia obchodzi! Nie cierpię. kiedy łazisz w porze obiadowej.

Jadzia przygryza wargę i cofa się ku drzwiom. Patrzę za nią z bezsilną brutalnością i ciągnę, nie wiedząc, co mam mówić.

— Jakieś wilcze nie wilcze. Djabli nadali te wszystkie sprawy i porozumienia.

Jadzia się ożywia.

— Żadne porozumienia, ale Zosia oddała mi jedną swoją lekcyę, bo ma za dużo.

A... więc to nowy pomnik cichego poświęcenia. Teraz zaczynam wchodzić w białą złość — flegmatyczną, mierzoną.

— Tak? A ja ci mówię, że żadnych lekcyj dawać nie będziesz.

ce położył on niemało zasługi przez wydanie szeregu świetnych dzieł specyalnych. On to pierwszy wykrył nadzwyczaj ciekawe i doniosłe przemiany wewnętrzne, zachodzące przy przeobrażeniach owadów, dał nam wiele ważnych prac o budowie niższych skorupiaków i o zależności ich rozwoju od warunków zewnętrznych, napisał ważną rozprawę o rozwoju elementów rozrodczych u zwierząt jamochłonnych itd. Ale wielkiego tego badacza nie zadawalały prace czysto eksperymentalne, nie wystarczało mu zdobywanie nowych faktów, lecz na każdym kroku starał się w swych poszukiwaniach przenikać do najgłębszych tajników życia i drogą śmiałych uogólnień naukowych otwierał nowe horyzonty dla myśli. Wiele rozpraw poświęcił między innemi teoryi doboru naturalnego, której był i jest jednym z najgorętszych wyznawców.

Hipotezy i teorye biologiczne Weismana nie wszystkie były trafne, nie wszystkie jednaką miały wartość naukową, ale można powiedzieć, że nie było ani jednej, któraby nie wywarła mniejszego lub większego wpływu na współczesnych badaczów, któraby nie stanowiła fermentu, pobudzającego do nowych poszukiwań, a z tego względu wszystkie teoretyczne dociekania jego posiadają niepoślednią doniosłość naukową.

W ostatnich latach zwrócił się całkowicie ku dociekaniom filozoficzno-biologicznym. Wzrok nadwerężony długoletniemi badaniami mikroskopowemi, nie pozwala już sędziwemu uczonemu zajmować się pracą doświadczalną, całą przeto działalność skierował on na teoretyczne rozważania wielkich zagadnień biologii, a szereg rozpraw, traktujących o różnych pyniach ogólnych („Ueber die Dauer des Lebens,“ „Rückschritt in der Natur,“ „Die Unsterblichkeit der Einzelligen,“ „Ueber Leben und Tod,“ 1884, „Ueber die Vererbung,“ 1883, „Die Bedeutung der sexuellen Fortpflanzung,“ 1886, „Die Kontinuität des Keimplasmas,“ 1885 itd.) oraz ostatnie wielkie dzieło „Das Keimplasma,“ 1893 — zawierają, rzec można, cały systemat filozoficzno-biologicznych poglądów wielkiego naturalisty; powiadam: systemat, ponieważ wszystkie zapatrywania Weismanna wiążą się z sobą jaknajściślej i wypływają konsekwentnie i logicznie jedne z drugich.

O całokształcie jego teoryi trudno bardzo wydać sąd w kilku słowach. Krytyka naukowa odzywa się o niej rozmaicie. Przedewszystkiem, niestety, powtarza się tu to samo, co i z innemi śmiałemi teoryami naukowemi, mianowicie znaczna większość sędziów nie rozumie jej istoty, nie pojmuje zasadniczych jej podstaw, podobnie jak nie rozumiano w swoim czasie teoryi doboru naturalnego i przypisywano jak najniesłuszniej Darwinowi teleologię, nie odróżniając przyczyn celowych (causae finales) od działawczych (causae efficientes). Powtóre, jak to również zdarzało się z innym, krytycy Weismanna usiłują wykazać, iż w poglądach jego nie ma nic nowego, iż są one tylko przeróbką pojęć dawno znanych. Są i tacy, co twierdzą, że wszystkie wywody znakomitego biologa od początku do końca nie mają żadnej wartości, że można nad nimi przejść spokojnie do porządku dziennego, gdyż nauka nie ma potrzeby liczyć się z nimi. Nareszcie znajdujemy także gorących jego zwolenników i zapalonych znawców, którzy tak szczerze wierzą w prawdziwość poglądów mistrza, że w badaniach swych kierują się apriorystycznie jego ideami, zaciągają mimowoli fakty do teoryj i podnoszą bezwzględnie jego zasługi, twierdząc, że nowo zbudowane fakty potwierdzają w szczegółach jego teoretyczne wywody i domniemania.

Naszem zdaniem, prawda leży pośrodku. Błądzą w części zawzięci przeciwnicy, ale zarówno też mylą się w znacznej mierze gorący jego wielbiciele. Systemat poglądów Weismanna nie składa się z samych pereł, ale że zawiera ich bardzo wiele, o tem, zdaje mi się, wątpić niepodobna i przyszła historya wiedzy, spoglądająca wstecz na obecne kierunki naukowe w pewnej odległości, przy której ulegają przyćmieniu lub gasną drobne światełka, a potęgują się wybitno przebłyski myśli ludzkiej, postawi Weismanna, jako myśliciela-biologa, w szeregu Janów Müllerów, K. Wolffów, v. Baerów, Lamarków, Darwinów, Naegelich i innych podobnych mocarzów ducha.

Jakież tedy są owe teorye biologiczne Weismanna? Pragnąc przedstawić je w ramach artykułu, natrafiamy na niemałą trudność z tego względu, iż wszystkie prawie poglądy uczonego freiburskiego, dotyczące różnorodnych zagadnień biologii, są z sobą nader ściśle i nierozerwalnie związane, tak że niepodobna prawie żadnego z nich ominąć. Prócz tego, Weismann wielokrotnie sam je zmieniał, dopełniał i trzeba być przeto dokładnie obznajmionym z dziesiątkami prac i rozpraw jego, aby wyrobić sobie należyte pojęcie o tem, jak ostatecznie zapatruje się on na różne kwestye ogólne. Na podstawie wszystkich pism odnośnych możemy w następujący sposób przedstawić w krótkości zasadnicze jego idee.

Ustrój jednokomórkowy, np. bakterya, ameba itp., dosięgnąwszy dojrzałości, rozpada się w całej swej treści na osobniki potomne, które, pobierając pokarm, rosną, dochodzą do rozmiarów normalnych i znowu drogą rozpadania się czyli dzielenia wytwarzają osobniki potomne. W naturze tych ustrojów spoczywa dążenie do wiecznego życia; nie umierają one nigdy w tem znaczeniu, jak ustroje wielokomórkowe. Czem jest bowiem śmierć u organizmów wyższych? Jest ona nietylko końcem życia indywidualnego, ale jednocześnie także zawieszeniem funkcyj, prowadzącem do powstania ciała martwego, które powraca na łono materyi nieorganizowanej. „Gdyby ustrój ludzki, doszedłszy do wieku dojrzałości, rozpadł się na dwie połowy, z których każda dopełniłaby się do całości, innemi słowy, gdyby w całej swej masie rozpadł się na dwa osobniki potomne, to czyż moglibyśmy powiedzieć, że umarł? Nie, przestałby tylko żyć *jako osobnik*, istnieć jako indywiduum, ale nie zamarłby, albowiem żyłby nadal w potomstwie. Otóż tak rzeczywiście kończą swój byt indywidualny ustroje jednokomórkowe, które wskutek rozpadania się na osobniki potomne żyją całą swą treścią w potomstwie. W tem znaczeniu ustroje owe są nieśmiertelne w porównaniu z śmiertelnymi organizmami wyższymi, wielokomórkowymi. Te ostatnie wydają wprawdzie potomstwo, ale same, jako osobniki, starzeją się i umierają, stają się trupami, które przez procesy roz

---

Jadzia patrzy dużemi ze zdziwienia oczyma i nieznacznie wzrusza ramionami.

— Wiesz, że ta lekcya jest mi bardzo na rękę. Zresztą mówiliśmy już o tem, o cóż ci teraz chodzi.

— O to, że nie chcę.

— Ależ, mój drogi, nie traktuj mnie jak dziecko. Przecież ja także mogę chcieć. Zawsze jakaś kuratela, wszędzie byś chciał sam dopaść — zabijasz się po prostu... Powiedz, po co ty mnie i siebie torturujesz, męczysz, dręczysz?..

Wszystkiego tego słucham prawie z rozkoszą, zawczasu przygotowując się do wyczerpującej odpowiedzi.

— Po pierwsze, traktuję cię jak dziecko, bo jesteś dzieckiem. Powtóre, nie używaj ty nigdy swoich babskich „zawsze“ i „wszędzie.“ Po trzecie, męczyć, dręczyć i torturować — są to synonimy, a po czwarte nikt tu twego poświęcenia nie potrzebuje.

Czuję dokładnie miarę brutalności, zawartą w tej odpowiedzi. Jadzia powoli odchodzi, nic mówiąc ani słowa—jakiś kurcz przykry wije się koło jej ust.

— Męczennica!

Za ścianą słyszę głuchy szmer więzionego nadludzką mocą łkania i już prawie w niepamięci rzucam za nią frazes ostatni.

— I radzę lepiej nie dąsać się, dopóki nie będziesz miała na ten cel buduaru.

Ale jednocześnie czuję jakby uderzenie w twarz i milknę konwulsyjnie. Ach — jakież to podłe!

Teraz cisza ustala się na długo — nikt z nas napewno nie przerwie milczenia. Ja leżę bezczynnie na sofie, patrząc w podłogę. Jadzia raptem ucichła w drugim pokoju. Po co w istocie ma płakać i dręczyć się, kiedy to, co powiedziałem, już po prostu było głupie i śmieszne? Szkoda zdrowia na takie świństwa. W ten sposób mniej więcej odtwarzam sobie obecny stan Jadzi i znajduję w tem pewną ulgę. Upływa jeszcze kwadrans, podczas którego Jadzia zapala maszynkę i grzeje mleko: Maryjka zaraz się obudzi. Ciekawa rzecz, czy mi ją przyniesie? Staram się sobie nadać humor bardziej jowialny, ojcowski — Maryjka już gwarzy z Matką.

— Mlićka.

Po mleczku powie „na łąćki.“ Jadzia coś po cichutku jej opowiada.

— Na łąćki.

Słyszę, jak Jadzia obciąga jej koszulinę i podchodzi do okna. Ale żuczek nie łatwo daje się wykolеić ze zwykłego trybu.

— Do tatusia.

Ciekawa rzecz... Jadzia przynosi Maryjkę do drzwi i wpuszcza do mnie, sama nie wchodzi.

— Może Maryjce zimno? — pytam. Żuczek pakuje się na sofę i pokazuje na nóżki.

— O — pońcioski.

— A nie zimno Maryjce?

Maryjka potrząsa główką.

— Nieś tatuś zlobi „cio ja widzie.“

„Nieś“ — to znaczy: niech. Biorę ją na ręce i podnoszę do góry, później żuczek powtarza za mną.

— Gdzie ja jestem.

— Dzie ja citiem.

— Co ja widzę.

— Cio ja widzie.

— Hop na ziemkę!

— Hop nia ziemkie!

Nazywa się ta zabawa: „cio ja widzie.“ Żuczek po każdym zsadzeniu „na ziemkie“ powtarza, zanosząc się od śmiechu:

— Jeście — cio ja widzie.

Jadzi nawet to nie wywabia z drugiego pokoju. Robi mi się naraz dziwnie smutno i całując Maryjkę, szepczę:

— Niech żuczek idzie do mamusi.

— A tatuś gdzie będzie?

— Tatuś sobie pójdzie do miasta.

Właściwie nie miałem tego zamiaru. Maryjka trochę obrażona pędzi do mamusi, a ja zaczynam powoli szukać kapelusza, paltota, laski. Jadzia dwa razy staje we drzwiach, jakby nie mogąc wykrztusić czegoś — wreszcie nie mam już pozoru zwlekać dłużej i biorę za klamkę. Jadzia wreszcie zdobywa się na odwagę.

— Czy na długo wychodzisz?

Skąd raptem bierze się suchy ton, którym jej odpowiadam.

— Prawdopodobnie nie wrócę na herbatę.

Jadzia znowu milczy.

— W takim razie... przepraszam cię... już nic.

Wzruszam ramionami i wychodzę.

— Zresztą... proszę cię o te pieniądze.

Mówiąc te słowa cała czerwienieje i nawet nie patrzy na mnie, a ja po raz drugi doznaję wrażenia, jakbym został spoliczkowany: zapomniałem! A przecież o tem myślałem przez cały dzień!..

(D. n.).

kładu chemicznego powracają ostatecznie do przyrody mineralnej.

Ażeby różnicę tę dokładnie rozumieć, należy ściśle odróżniać śmierć naturalną, tj. będącą wynikiem biologicznych właściwości ustroju, od sztucznej, tj. wywoływanej przez niesprzyjające warunki zewnętrzne, zabijające organizm, zatruwające go — że tak powiem. Drożdża piwna lub inny ustrój jednokomórkowy wiecznie by żył w potomstwie, bez końca rozpadałby się na pokolenia potomnych osobników przy warunkach sprzyjających, tj. przy obecności środków pokarmowych itd., ale naturalnie zginąłby prędko przy braku pokarmu lub przy działaniu jakiejś innej, zabójczo nań wpływającej przyczyny. Ale byłaby to śmierć, jak powiadamy, sztuczna, jakkolwiek w przyrodzie miliony osobników jednokomórkowych giną w ten sposób; tu spala je i wysusza promień słońca, tam uśmierca je brak powietrza, owdzie obecność jakiejś szkodliwej substancyi mineralnej, będącej przypadkową domieszką wody itd. itd. Wyższy atoli organizm nawet przy najodpowiedniejszych warunkach starzeje się w pewnym wieku, funkcye jego zaczynają się osłabiać i wreszcie umiera, bo dążenie do śmierci jest naturalną jego właściwością, umieranie jest tak samo jego funkcyą fizyologiczną, jak wzrost, dojrzewanie lub rozmnażanie się!

Dopóki w ciele pierwotniaka nie są wyróżnione dwa rodzaje plazmy, z których jedna jest podścieliskiem czynności indywidualnych, tj. podtrzymujących życie osobnika, a druga ma wytwarzać osobniki potomne, dopóty pierwotniak, rozpadający się w całej swej treści na potomstwo, jest nieśmiertelnym w powyższem znaczeniu. Ale u wielu pierwotniaków (u których zachodzi t. zw. sprzęganie się, tj. proces odpowiadający zapłodnieniu u zwierząt wielokomórkowych), napotykamy takie wyróżnienie się dwóch rodzajów plazm, z których jedna istnieje tylko przez ciąg życia indywidualnego, a w końcu zamiera, druga zaś przenosi życie w dalsze pokolenia i jest przeto nieśmiertelna.

U wyższych organizmów wielokomórkowych znajdujemy już zawsze dwa rodzaje plazm: jedną, mającą siedlisko w komórkach płciowych (głównie w jądrach tych komórek), drugą—wchodzącą w skład komórek t. zw. *cielesnych*, tj. wszystkich innych z wyjątkiem rozrodczych. Z chwilą, gdy istnieje plazma, uzdolniona do przenoszenia cech dziedzicznych, mogąca dawać początek potomstwu, tj. nowemu pokoleniu, słowem t. zw. *plazma zarodkowa* (Keimplasma), wówczas pozostała zaródź ciała, wchodząca w skład zwykłych, cielesnych komórek, staje się śmiertelną, tj. może istnieć tylko w ciągu życia jednego pokolenia. Ideę tę musimy nieco bliżej rozpatrzeć, jeśli chcemy ją dokładnie rozumieć.

(D n.).

Dr. H. T. Rozicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Teorye estetyczne Ruskina. — J. Milsand: John Ruskin.

Słynny estetyk wywarł na współczesną poezyę i sztukę angielską wpływ tak potężny, iż musimy rozpatrzeć jego teorye. W dziełach Ruskina są dwie części: burzycielska i twórcza. W pierwszej wymierzył on wszystkie ciosy swej dyalektyki przeciw wiekowi Odrodzenia, który był, jego zdaniem, wiekiem upadku. Myśl, uczucie, wyobraźnia, miały zniknąć wówczas z dziedziny sztuki i ustąpić miejsca powierzchownemu sensualizmowi, próżnej ostentacyi i rzemieślniczej zręczności. Wiek ten przesadzał się w poszukiwaniu form pięknych, ale pozbawionych wszelkiego sensu. Jest to pogląd tak niesłuszny i tak stronniczy, iż objaśnienie jego znaleźć można tylko w namiętnościach religijnych autora. Ten protestant i antipapista przypisuje upadek sztuk pięknych zanikowi ducha chrześciańskiego i odrodzenia się pogaństwa. „Przeciw zepsutemu papiestwu — powiada — powstały dwa rodzaje przeciwników: protestanci w Niemczech i Anglii z jednej strony i racyonaliści we Francyi i Włoszech z drugiej; pierwsi żądali oczyszczenia religii, drudzy zupełnego jej zniszczenia. Protestant zachował religię, ale wraz z herezyami Rzymu odrzucił sztuki i wyrządził sobie wielką krzywdę, gdyż zmniejszył znacznie swój wpływ moralny. Racyonalista natomiast zachował sztukę, a odrzucił religię. Ta to sztuka racyonalistyczna, znana zwykle pod imieniem Renaissance'u — powróciła do systemów pogańskich, nie w tym celu, aby je podnieść aż do chrześciaństwa, lecz aby stanąć w ich szeregu, jako naśladowczyni i uczenica. Przywódcami są tu w malarstwie J. Romain i N. Poussin, w architekturze Sansovino i Palladio. Upadek przejawił się natychmiast we wszystkich dziedzinach; wzbierające może głupoty i obłudy zaczęło zewsząd zalewać. Mitologie, naprzód źle zrozumiane i grzęznące następnie w dzikim sensualizmie, zajęły miejsce wyobrażeń chrześciańskich, które stały się zresztą bluźniercze pod pędzlami takich Carrache'ów. Bogowie bez potęgi, nimfy bez niewinności, satyrowie bez wiejskości, ludzie bez charakteru ludzkiego mieszają się w grupy bezmyślne na zbrukanych płótnach, i afektacye teatralne zawalają ulice bezczelnemi mazaninami. Nadużycie inteligencyi prowadzi sztukę coraz niżej; nędzna szkoła pejzażu, zajęła miejsce malarstwa historycznego, które wpadło w cynizm pedancki. Nastąpiło panowanie Salvatora Rosy z jego cudami jasełkowemi, Claude'a Lorrain'a z jego pięknym ideałem cukiernika, G. Poussin'a i Cavalletta z ich monotonną fabrykacyą; a jednocześnie na północy ogłupiałe jestestwa spędzają życie na cierpliwem kopiowaniu dachówek, mgieł, tłustych byków i rowów błotnistych.“ Ruskin występuje przeciw wiekowi Odrodzenia nie tylko w imieniu religii, ale także w imieniu demokratyzmu. Architektura ówczesna, zdaniem jego, powtarzając formuły greckie i rzymskie, wykazywała z jednej strony pogardliwy pedantyzm, będąc zrozumiałą tylko dla uczonych, dla tych, co czytali Vitruviusza, z drugiej zaś — miała wrzekomo na celu poniżyć biedaka: i swym chłodem arystokratycznym, i pretensyonalną godnością własną, która wieje z tych kamieni, i nareszcie przygniatającym ciężarem bogactwa, o którem świadczą potężne masy budowli, emfatyczne powtarzania, liczne kolumnady. Słowem cały system budownictwa ówczesnego miał być wyrazem ducha arystokracyi, kleru i uczonych. Jest to sztuka sensualizmu i etykiety, pochlebstwo z marmuru i kamienia pod adresem rozpanoszonej próżności, która tchnie pogardą. Wszystko ma tu na widoku pompę i zbytek, a skrzętnie omija każdy szczegół, któryby mógł zainteresować myśl, jakby z obawy odwrócenia uwagi od wystawy wspaniałości. Artysta niema tu nigdy na widoku przygotowania dla wszystkich dostępnej uczty rzeźbionych liści i kwiatów, lub scen śmiesznych i wzruszających, jakie znajdujemy na katedrach gotyckich, on jest pedantem, który chce pokazać tylko swą znajomość pięknych obyczajów i czystość klasyczną swego smaku.

Ruskin stara się wyzwolić architekturę z pod ciążenia tych reguł praktycznych, wskazuje jej natomiast nowe reguły moralne, które zresztą nie krępują artysty, lecz pozwalają mu swobodnie oddawać się polotom swej fantazyi. Żąda on od artysty, aby się wyzwolił od próżności, drobiazgowości, dążenia z zysku, aby natomiast kierował się szczerością, poświęceniem, niezależnością ducha, wyrozumiałością. W tych granicach trzeba tworzyć zupełnie swobodnie, a nie zadawalać się mechanicznem zastosowywaniem uświęconych formułek.

W swej krytyce estetycznej Ruskin, daleko wcześniej, niż Taine, starał się odgadnąć podług dzieła stan ducha umysłowy i moralny, od którego ono pochodzi. Pod jego piórem kamienie przemawiają, on czyta w nich nie tylko zamiary budowniczych, ale także całość obyczajową instynktów epoki odpowiedniej. W tym celu Wenecya, w której się spotkały, wszystkie style starożytne, wschodnie i zachodnie, posłużyła mu za znakomity grunt badań. Jego oceny są zawsze stronnicze. Nienawiść, którą czuje do wieku Odrodzenia, przenosi i na pogaństwo. W sztuce greckiej np. znajduje tylko formalizm, co ma wrzekomo stąd pochodzić, iż starożytność poświęcała jednostkę państwu i gminie. Z drugiej strony z cech indywidualnych greczy rozwijali tylko miłość własną, dumę, miłość sławy. Dlatego też grek, zadowolony z siebie zwracał uwagę tylko na człowieka, otaczająca natura wcale go nie obchodziła lub bardzo nie wiele. Krajobraz miał tu tylko tyle znaczenia, o ile był tłem i mógł wydzielić osobę ludzką; w sztuce greckiej istnieje wciąż harmonia i symetrya, jakiej w naturze nie spotykamy, a jeżeli na budowlach greckich znajdujemy wizerunki liści lub kwiatów, to niesłychanie uproszczone, służące tylko za znak pewnej myśli ludzkiej. Dopiero chrześciaństwo wprowadzeniem cnót pokory i samopoświęcenia mogło odwrócić uwagę człowieka od niego samego i skierować ją na świat zewnętrzny. Z drugiej strony, wyzwoliwszy go wrzekomo z poddaństwa ogółowi, wyzwoliło sztukę z formalizmu w jakim ona skrzepła. Takie są ogólne zasady, kierujące Ruskinem przy ocenie dzieł. Dlatego też wszystkie jego zachwyty należą do architektury gotyckiej. Tutaj rzeźbiarz oddaje wdzięk kwiatów, liści, istot żywych z objektywizmem, przez miłość ku nim samym. Intencye dekoracyjne i zamiłowanie symetryi ustępują na plan dalszy, z drugiej strony natchnienie osobiste w zupełności się wyzwoliło z pod formalizmu tradycyi i metod ogólnych. Artysta staje się wolnym, pracuje dla chwały Boga i natury.

Teorye Ruskina można byłoby właściwie nazwać protestantyzmem w sztuce. Oskarżenia, które on rzuca na Renesans, mają głębokie podobieństwo do napadów, skierowanych przez Reformacyę przeciw katolicyzmowi, gdy uczyła, iż kościół niesłusznie przyswaja sobie wyłączną znajomość prawdy i gdy żądała, aby każdy opierał się tylko na własnem sumieniu.

W zastosowaniu do katolicyzmu napady te były mniej więcej słuszne, ale gdy Ruskin stara się przenieść je na świat klasyczny, sofizmat staje się rażącym. Nigdy i nigdzie indywidualizm ludzki nie był tak pysznie rozwinięty, jak w Atenach. Swe zamiłowania do sztuki gotyckiej Ruskin stara się uzasadnić ogólną teoryą estetyczną, która opiewa, iż prawdziwe piękno ma za jedyne źródło naturę i miłość natury. Zresztą ta „miłość natury“ jest zwykłą przenośnią: autor ma tu na widoku nie tyle naśladowanie natury, jak te wrażenia i uczucia, które wszechświat w nas wzbudza. „Grek — powiada on — upodobał sobie swe tryglify i liście akantu i nie widział nic poza tem; był doskonały w urzeczywistnieniu swych planów, jasnych i dobrze

obmyślanych... W gotykach natomiast jest potęga, która nie daje się ani wyrazić, ani analizować, potęga tajemnicza, niczem nie kierowana, która zawiera w sobie więcej wiary, niż refleksyi; można ją tylko czuć, gdyż na podobieństwo wiatru lub potoku w górach dmie i wylewa się według swego upodobania. Nie mogła ona znaleźć spokoju w wyrażeniu żadnej formy; nie mogła, na wzór duszy greckiej, zakopać się w żadnym wynalazku; jej obrazy zapożyczone były od cieniów burz i gór, ona była pokrewną i przyjaciółką dnia i nocy, które panują na ziemi." Jak widzimy, jest to pojmowanie nader luźne „miłości natury," gdyż przypisuje jej wszystkie możliwe cechy wyobraźni — ale obok tego wymaga ono sztuki, któraby była zrozumiała dla ludności całej, któraby stanowiła część składową życia samego. Krajobraz, datujący się od XVII w., był tylko próbą zapełnienia próżni pozostawionej przez zniknięcie pięknych ubiorów średniowiecznych, żywych barw, które były w powszechnem użyciu, poezyi ludowej, która przemawiała z wizerunków, wyrytych na ścianach kościołów i domów. Jakże to wszystko obecnie licho zastępowane jest przez krajobrazy i ilustracye, ukryte zresztą po muzeach i nie dla wszystkich dostępne! Jeden tylko rodzaj sztuki może zatrzymać przechodnia na ulicy pośród jego kłopotliwych zabiegów i odrywać go od pochłaniających całą jego uwagę materyalnych pomysłów, to architektura, jeżeli będzie w dalszym ciągu snuła wątek tradycyi średniowiecznych; tylko ona może bić żywym zdrojem śród kamiennej pustyni naszych miast. Ona może dostarczyć zdrowego pokarmu wszystkim naszym zdolnościom: nowe bez ustanku przedmioty spostrzeżenia i rozmysłów; ciągłe pobudki dla naszej uczuciowości. Wiek Odrodzenia zrobił ze sztuki przedmiot zbytku i wyszukania, ona natomiast powinna się stać częścią składową samego życia, zdrojem orzeźwiającym i dla wszystkich dostępnym. Jak w architekturze gotyk, tak w malarstwie prerafaeliści, t. zw. „pierwotni" pochłonęli wszystkie sympatye Ruskina. I tu zresztą *miłość natury* występuje u niego na pierwszy plan: powtarza on często, iż malarstwo powinno mieć na celu przedstawianie rzeczy takiemi, jakie są. Ale ten realista jest zarazem mistykiem zapamiętałym. Jeżeli ogranicza twórczość artysty przedstawianiem świata rzeczywistego, to w imieniu pokory chrześciańskiej. Świat jest dziełem Boga, które człowiek powinien uwielbiać na klęczkach, nie powinien zaś na wzór Szatana przeciwstawiać swe własne pomysły pomysłom Przedwiecznego. Zresztą realizm i prawdziwość są dlań i w malarstwie nie tylko naśladownictwem przyrody, ale także oddaniem całej sumy wrażeń, które ona w nas budzi. W pojmowaniu natury nasze czasy zupełnie się różnią od dawniejszych. Niegdyś człowiek panował nad krajobrazem i wzorowo go oddawał, dziś dusza nasza jest posłuszną lutnią, na której wielki Pan gra podług swego upodobania.

Nie zbyt wielką rolę przypisuje Ruskin doskonałości technicznej, która chwyta ściśle podobieństwo zewnętrzne. Jemu chodzi głównie o uchwycenie *duszy* i *istoty* rzeczy. We wszystkiem tem kryje się sprzeczność niewątpliwa i krytyka angielska już oddawna dowiodła, iż Ruskin, pomimo swych napadów na idealizm, jest rdzennym idealistą, a raczej intelektualistą. Prawda w obrazie polega według niego na oddaniu nie podobieństwa rzeczy, lecz ich znaczenia wewnętrznego, typowego. Realizm Ruskina pochodzi w linii prostej od Platona, dla którego rzeczy istniejące są niczem więcej, jak tylko zwykłymi cieniami; a rzeczywistość kryje się w typach rzeczy niewidzialnych. Oddanie tych typów stanowi, według Ruskina, prawdziwy cel sztuki. Nic dziwnego, iż żąda on od malarza, aby był jednocześnie uczonym i przedstawiał rzeczy nie w ich stanie trwałym, lecz w ich rozwoju. Ale nie dość tego, przedstawianiu typów powinno towarzyszyć wzruszenie artystyczne, filozoficzne, moralne lub religijne. Malarz powinien posiadać wszystkie odpowiednie po temu cechy i właściwości. Powołując w ten sposób wszystkie władze ducha do współdziałania w twórczości, Ruskin wymaga zarazem, aby one się zadawalały objaśnianiem zjawisk rzeczywistych, wyobraźnia artysty powinna grać rolę zupełnie bierną, jego „ja" nie powinno nigdy czynnie występować, ze względów na pokorę chrześciańską.

Stawia on nawet zasadę, iż „wartość obrazu zależy ściśle od liczby wiadomości o świecie rzeczywistym, których on nam dostarcza." Pomimo nader subtelnej dyalektyki, sprzeczność wewnętrzna w wymaganiach Ruskina od sztuki pozostaje nienaruszona. Z jednej strony chce on, aby obraz był tylko przedmiotowem sprawozdaniem, bez udziału duchowego artysty, w drugiej obraz ma być pełen uczucia i myśli, co właśnie wymaga czynnego współdziałania osobistości twórczej. Naprożno Ruskin stara się z delikatnych sofizmatów rzucić most nad tą otchłanią, ona zostaje niepokonaną. Jak rzekliśmy, sympatye Ruskina należą do t. zw. malarzy pierwotnych, pełnych symbolizmu i zarazem ekspresyi, to jest tej prawdy, o którą estetykowi angielskiemu głównie chodzi. Rafael, ten artysta „który malując swój *Parnas*, pisał na murach samego Watykanu odszczepieństwo religijne malarstwa," zdetronizował sztukę, mającą na celu „prawdę," a wprowadził na jej miejsce sztukę „póz i pięknych kłamstw." Malarze dawniejsi, średniowieczni mieli na celu tylko przedstawianie rzeczy takiemi, jakie są, a ich symbole konwencyonalne świadczą tylko o ich prawdziwości. Wraz z Rafaelem sztuka przestaje być realną: jego płótna to „machinacye na zimno pięknych pozorów i wyszukanych wdzięków podług formułek akademickich." Nie mniej bezlitośnym jest autor względem M. Anioła. Jego *Mojżesz*, *Dawid*, *Izajasz* itd. to tylko potężni atleci o stalowych mięśniach. „Ale czyż wyobrażacie sobie, aby te utwory nasunęły wam na myśl kiedykolwiek czyny tych ludzi?" — zapytuje autor.

Natomiast arcydziełami w malarstwie dla Ruskina są obrazy w rodzaju „Rodziny świętej" Tintoreta, gdzie na tle oddalonem widnieje stary mur na pół zrujnowany i obok niego początki nowej budowli. Są to symbole, któremi artysta daje do zrozumienia, iż stara epoka żydowska jest na ukończeniu, następuje zaś nowa — chrześciańska. Na innym obrazie tegoż mistrza „Ukrzyżowaniu" zachwyca Ruskina osioł pasący się na zboczu Kalwaryi i mający świadczyć o materyalizmie żydowskim.

Takie są poglądy jego na sztukę. Ich doniosłość historyczna była olbrzymia, gdyż nie tylko przyświecały, jako gwiazdy przewodnie szkole współczesnych prerafaelistów, ale wywarły niesłychany wpływ na rozwój poezyi angielskiej w drugiej połowie naszego stulecia. Jako podstawy teoretycznej krytyki, poglądy te są wszakże nader ciasne. Napady na Renesans lub świat klasyczny są do śmieszności stronnicze. Jak gdyby dwa odmienne rodzaje sztuki nie mogły już żyć i rozwijać się obok siebie bez wzajemnej walki i wyklinania! Bądźmy wszakże wyrozumiali: Ruskin jest człowiekiem czynu, apostołem, reformatorem. Powodzenie reformy, którą chciał przeprowadzić, zależało właśnie od energii, a może i od stronniczości napadów na kierunki istniejące.

L. W.

ODCZYTY.

Dr. Władysław Ołtuszewski, *Psychofizyologia i patologia mowy*.

Prelegent przy pomocy rysunków i innych przedmiotów plastycznych, wyjaśnił stronę anatomiczną, scharakteryzował różne rodzaje choroby (jąkanie, bełkotanie, niemotę) i silnie uwydatnił tło hygieniczno-wychowawcze. Dziecko, pod wielu innymi względami otoczone staranną opieką, najczęściej jest zaniedbywane w zakresie rozwoju mowy; a nawet nieraz sami rodzice dopomagają do wytworzenia się choroby. Znany jest powszechnie ów zachwyt, z jakim matki przysłuchują się gwarze dziecięcej, podchwytują, uczą się jej same, ażeby tym językiem zrozumiałym przemawiać do dziecka. Tymczasem w gruncie rzeczy jest to właśnie środek najbardziej sprzyjający spaczeniu mowy, którą trzeba później mozolnie przez długie lata naprawiać. Po za tem ujemnie wpływa zbyt szybki sposób mówienia otaczających, również bardzo często — szkoła, a raczej jej wadliwy system pedagogiczny. Dziecko z natury nerwowe, lękliwe, pod wrażeniem grozy nauczycielskiej jąka się i następnie utrwala w sobie tę wadę. Nadto nauczyciele sami posiadają nieraz wadliwą wymowę, co się odbija na małych słuchaczach. W dziedzinie hygieniczno-wychowawczej zaleca dr. O. między innemi: baczyć, iżby dziecko natury żywszej nie mówiło zbyt prędko, leniwe zaś należy zmuszać do mówienia. Starsi powinni wobec dziatwy zachowywać o ile możności poprawność wymowy; odsuwać jąkałów, nie zachęcać do tej gwary, która uciechę dla matek stanowi. Nauczyciele, bądź domowi, bądź szkolni, powinni przedstawiać wzór dobrej wymowy. Deklamacyę trzeba wprowadzić do programu szkolnego. To jest prawie wszystko, co w systemie pedagogicznym mogą zdziałać przepisy zdrowotne bez pomocy lekarza. Po za tem są wady, wynikające z usposobienia dziedzicznego, z chorób różnorodnych, z przyczyn mózgowych itd. Tu już niezbędna jest kuracya pod kierunkiem wytrawnego specyalisty. Dr. Ołtuszewski pociesza nas twierdzeniem, że przeważna część nawet ciężkich chorób mowy daje się usunąć przy pomocy systematycznego leczenia. Ta wszakże nadzieja nie powinna utrwalać śród nas niedbalstwa w zakresie pielęgnowania mowy od samych początków. Ale zanim nasz ogół nauczy się szacować tego rodzaju wskazówki i przepisy, wcielać je do pracy wychowawczej, trzeba, ażeby wprzódy zapoznał się z elementarnemi zasadami hygieny, nauczył się je zużytkowywać w życiu i cenić.

Z.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

TOWARZYSTWO OGRODNICZE *).

Ostatnie zebranie miesięczne tej instytucyi dało nam przedmiot do rozmyślań, niezgodnych z tym chórem, który hymny pochwalne odśpiewał na cześć Bagateli, „żywotności i ener-

*) Zamieszczając powyższy głos, winniśmy dodać, że on bynajmniej nie wyczerpuje tych zarzutów i pretensyj, jakie ogół do Towarzystwa ogrodn. słusznie żywić może. Co do organu tej instytucyi, coraz mniej rozumiemy naturę i zadanie tego pisma. Jest to raczej jakiś ogrodniczy *Wędrowiec*, a nie *Ogrodnik polski*. *Red.*

gii“ Towarzystwa. Chcąc zbadać tajniki tej siły, postaraliśmy się z bliska przyjrzeć owej maszyneryi, mającej na celu, o ile z nazwy wnosić można — dobro ważnego odłamu gospodarstwa u nas. P. Edmund Jankowski, zacny człowiek, wytrawny specyalista, autor cennych podręczników i właściciel wzorowego ogrodu — bardzo często zabiera głos w *Ogrodniku* i pismach codziennych na temat zyskowności tego działu pracy, bardzo pięknie i barwnie maluje obrazy przyszłości i daje się unosić wysoko na skrzydłach fantazyi. Nie dziwimy się. Natura — to dziedzina, jakkolwiek zubożona przez gospodarza tej ziemi, jednakże posiadająca pierwiastki czystości, w której szlachetny człowiek, z konieczności ocierający się o męty i małostki życiowe, może się skąpać, zapomnieć na chwilę o wszystkiem, co go drażni i dotyka. Ogrodnictwo, jako urywek bogatej przyrody, ma ten urok dla duszy poetycznej. Ale takiem uczuciem rządzi się szczupła garstka, najczęściej niemająca ani nożyc, ani szpadla w ręku. Po za tem są wielkie masy, które chciałyby w ogrodnictwie widzieć źródło poważnego dochodu, a w przeznaczonej dlań instytucyi — pomoc i opiekę. Tego właśnie owa większość oczekuje od apostoła ogrodnictwa, p. Jankowskiego, i zresztą od całej grupy, stanowiącej ster Towarzystwa. Organ jego, *Ogrodnik polski*, dużo wypowiedział pięknych uwag i zachęty gołosłownej, ale wieje zeń przerażająca pustka w dziale najważniejszym—wskazówkach praktycznych. Przejrzyjmy specyalne pisma zagraniczne w tym zakresie, a przekonamy się, jak dalece są one cenne dla czytelników fachowych. Zjawia się gdzieś daleko jeszcze groźny pasorzyt, w tej chwili cały ogół interesowany ma najdokładniejszy opis podobnego wroga, tudzież możliwe środki walczenia z nim. Ogrodnictwo przy swoim wielkim postępie posiada jeszcze wiele ciemnych stron, które wyjaśnia długa, cierpliwa praktyka. Otóż wszelkie w tej mierze zdobycze pismo udziela swym czytelnikom i tym sposobem staje się ich najszczerszym przyjacielem, doradcą; uzdolnionych fachowców uwalnia od studyowania przeładowanych balastem dzieł obszernych i pracownika o średniej inteligencyi skuteczniej uczy za pomocą wskazówek zamkniętych w kilkudziesięciu wierszach, niż nauczyć może książka o kilkuset stronicach.

Takie powinno mieć znaczenie pismo specyalne. A Towarzystwo? To zapewne taka instytucya, która skupia w sobie przedstawicieli z całego kraju, pośredniczy w zbycie produktów, wyszukuje nowych rynków, rozmieszcza pracowników uzdolnionych na prowincyi, rozsyła ogrodników-instruktorów, sprzedaje tanio sadzonki, nasiona itd. Nie! Towarzystwo ogrodnicze jest to taka instytucya, która po długim mozole, zebrawszy trochę pieniędzy, a nie mając żadnego kłopotu, kupuje sobie kwiczące stworzenie, które obarczy jej finanse i zryje całą organizacyę. Prawda! Towarzystwo zbiera się raz na miesiąc dla narad nad sprawami praktycznemi, niecierpiącemi zwłoki, ale czasu na to niema, bo cały wieczór do późnej nocy wypełniają... pogadanki. Na ostatniem posiedzeniu niemiłosierny p. Rycerski miał zapoznać słuchaczów ze stanem ogrodnictwa w Ameryce, ale, niestety, nie dotarł do przedmiotu, gdyż wstęp „pogadanki,“ poświęcony bardzo szczegółowemu wykładowi geografii i obarczony ogromem cyfr, tak przygniótł obecnych, taką rozpacz i takie znużenie uwydatnił na ich twarzach, że p. Jankowski, łagodny człowiek, nie mógł tego swojego przymiotu jednocześnie roztoczyć nad słuchaczami i gawędziarzem, więc całkiem słusznie wziął w obronę większość, tj. odebrał głos p. Rycerskiemu. Był to uczynek iście obywatelski, którego wdzięczni słuchacze nie zapomną panu prezydującemu. Pozostaje wszakże jedna tylko troska: że p. Rycerski dokończy swoją pogadankę na przyszłem zebraniu, więc z tego powodu sala zapewne świecić będzie pustkami. A szkoda, bo przecież możeby się nareszcie coś znalazło do powiedzenia w sprawach ściśle związanych z istotnemi potrzebami kraju.

Jeżeli filoksera zniszczyła winnice francuskie do tego stopnia, że produkcya win w ostatnich czasach spadła do $^1/_{10}$, to nie mniej niebezpiecznym pasorzytem dla organizacyi Towarzystwa ogrodniczego są— gawędziarze. Na Lucypera! usuńcie ich ze swego łona, jeżeli chcecie uniknąć zagłady i z czasem przynieść odrobinę pożytku. Nie umiecie znaleźć żadnych środków zachęty, któreby zwiększyły liczbę członków, to przynajmniej nie zrażajcie tej garstki nudziarstwem, nic wspólnego nie mającem z potrzebami naszego ogrodnictwa.

Jedne, jedyne pogadanki, które mogą pewną korzyść przynieść słuchaczom, są wykłady p. Jankowskiego z dziedziny owocarstwa. Prelegent umie w zwięzłych słowach, w ciągu niespełna godziny, dużo objaśnić, nauczyć i pokazać przy pomocy odpowiednich aparatów i przyrządów. Temi właśnie zaletami nacechowany był szereg wykładów (przed paru tygodniami ukończonych) o przemyśle owocowym i wyrobie win krajowych. Śród szczupłej, niestety, garstki słuchaczów spostrzegliśmy prawie połowę kobiet, które nietylko słuchały z zajęciem, lecz skrzętnie notowały wskazówki praktyczne. Właśnie ten dział gospodarstwa najbardziej odpowiada naturze niewieściej i gdyby tylko słuchaczki zechciały zużytkować w czynie to, czego się nauczyły od p. Jankowskiego, gdyby przykładem własnej pracy produkcyjnej zachęciły innych do niej, nie trzeba byłoby długo czekać na rezultaty pomyślne. Chociaż wogóle ogrodnictwo nasze jest zaniedbane, jednakże sporo przepada co rok produktu surowego, który dałby się wybornie zużytkować na cenne przetwory przy środkach nieuciążliwych i niekosztownych. Faktem jest, że dużo spożywamy powideł, marmelad, win, suszów i t. d. Wszystko to płynie do nas zdala. Tu i owdzie można napotkać fabrykacyę, ale na użytek domowy, podczas gdy za granicą, szczególnie w Ameryce, istnieją wielkie zakłady przemysłowe, przynoszące przedsiębiorcom milionowe dochody z przetworów owocowych. Powidła i t. zw. sery stanowią ważną strawę dla ludności ubogiej, w lepszych zaś gatunkach są pokarmem wykwintnym w domach zamożnych. Wina owocowe, dobrze zrobione, przewyższają swemi zaletami wiele gatunków winogronowych, które masami wypijamy wraz z domieszką szkodliwą dla zdrowia. Gdyby więc te gałęzie przemysłu rozwinęły się u nas należycie, gospodarka wiejska znacznie wzmocniłaby swe podstawy. Niechże Towarzystwo ogrodnicze po za pogadankami obmyśli jakąś pomoc praktyczną w tej mierze, niech wciągnie do swego łona więcej żywiołu wiejskiego, na obradach niechaj na pierwszym planie postawi rozstrzygania spraw związanych z życiem, niech po prostu w to życie wejdzie, rozbudza ducha przedsiębiorczego, przyczynia się do organizacyi nowych działów gospodarki, do zbytu wytworów, niech wreszcie tam, gdzie potrzeba, wyrabia odpowiednie poparcie. Wtedy będziemy czuli istnienie owej instytucyi.

Ale, ale! Niech nam specyaliści wyjaśnią, co to jest „sekcya przyrodnicza“ przy Towarzystwie ogrodniczem? Dotąd wiemy, że jest to gromadka towarzyszów wzajemnej adoracyi, wielce nadętych swoją powagą, którzy uważają za rzecz ubliżającą dla siebie dopuszczanie gości postronnych, profanów, mogących objaśnić ogół, że istnieje takie zwierzę napuszone, zwane sekcyą przyrodniczą i że coś robi — dla kogo i na co — doprawdy próżno się wysilać nad rozwiązaniem tej zagadki. Wiemy z „porządku dziennego,“ który także nie wiadomo po co dają do *Kuryerów*, że bywają tam również pogadanki... archeologiczne, więc nawet nietylko ogółu, lecz i siebie wzajemnie niczego nie uczą, nie dzielą się zdobyczami wiedzy, nie czynią doświadczeń i poszukiwań samodzielnych. Może są za wielcy do tego, może się zaliczają do wyznawców wiedzy czystej i nie chcą się profanować tem, co ma chociaż słaby odcień stosowania?

A jednak takie kółka czy stowarzyszenia przyrodnicze za granicą przynoszą istotną korzyść społeczeństwu, uczą ogół i oddają wiedzę na jego usługi materyalne, co nie przeszkadza wznosić się na wyżyny duchowo. To też zjednoczeni przyrodnicy cieszą się tam ogólną sympatyą i poważaniem, profani mają wstęp do ich koła i dzięki temu, całe społeczeństwo interesuje się ich działalnością. Ależ tam są prawdziwi uczeni, którzy nie potrzebują wysuwać ze szczeliny piórka pawiego od wyleniałego ogona... Zniżcie się choć trochę ze swego piedestału do poziomu, na którym my, profani, stoimy i powiedzcie, co zacz jesteście, za co mamy uważać waszą sekcyę i waszą działalność; bo jeżeli nie jest ona ani publiczną, ani naukową, to.. przykro nam przyjść do tego wniosku, żeście komedyanci, tracący czas daremnie.

Dr. Z. Mirski.

PAMIĘTNIK.

Ostatnie smutki eusapizmu.

Co to znaczy? Dlaczego nawet najgłośniejsze trąby milczą? Dlaczego te, które przez kilka miesięcy tak strasznie ryczały sławą Eusapii, tryumfem nowych prawd, teoryi rozszczepiania się nóg itp., teraz wydają zaledwie lekkie i jak gdyby gniewne szmery, skoro p. Rybka, a za nim p. Baranowski powtórzyli wszystkie cuda medyumizmu, nie żądając wcale, ażeby ich uznano za źródło nowych sił, tylko za zręcznych figlarzów? Czy Kalchasów, kręcących grzmoty, obraziło to, że monopol na cuda został zniesiony? Czemuż oni zadąsali się, zamiast czuć radość, że nie potrzeba aż z Neapolu sprowadzać zbiornika tajemniczych potęg, gdyż mamy u siebie dwa bardzo zasobne? A może pp. Rybka i Baranowski fuszerowali, ich zaś produkcye miały się tak do sztuk Eusapii, jak — według wyrażenia p. Prusa— kwiaty robione do żywych? Gdzie tam! Obaj ci panowie wykonywali pyszne „lewitacye,“ podnoszenia przedmiotów itd. Tylko p. Baranowski, objaśniając tajemnicę tych cudów, wyznał, że nie może ich zdziałać bez... wspólnika, który mu dopomaga. Tą szczerością wykreślił on się raz na zawsze z liczby świętych medyumizmu i dlatego prawdopodobnie trąby chwały „nowego działu zjawisk“ nie zagrzmiały na cześć jego. Bo pierwszem przykazaniem „naukowej“ metody badania tych zjawisk jest zaprzeczanie wszystkiemu, co mogłoby posłużyć za naturalne wytłomaczenie „nowej siły.“ Jeżeli ktoś dostrzeże w ręku medium szpilkę, to należy go za to zwymyślać; jeżeli ktoś inny widzi wyraźnie nogę, poruszającą w ciemności dzwonkiem, to należy powiedzieć, że ta noga poszła za inną, eteryczną, odszczepioną od niej „dla zmniejszenia bólu rozszczepiania“ itd. Otóż p. Baranowski zaniedbał tej najważniejszej sztuki medyumizmu, stąd też jego produkcye nie były uroczyście wprowadzone do „nauki.“

Prof. fizyologii w uniwersytecie krakowskim, Cybulski, wykonał bardzo drobiazgową sekcyę na eusapizmie, który po paromiesięcznem ogłupianiu łatwowier-

nych, stał się już trupem, około którego kruki pism humorystycznych dotąd wyprawiają sobie ucztę. Według p. C., „nowy dział zjawisk“ jest wytworem bądź zwyczajnego kuglarstwa, bądź hypnotyzacyi i nie posiada żadnego znaczenia naukowego. Nie mów jednak, czytelniku: *sic transit gloria mundi.* Od czasu bowiem, jak geniusze, którzy rzeczywiście odkryli nowe prawdy i nie zyskali uznania urzędowych przedstawicieli nauki, wyszydzili krótkowzroczny ich rozum, byle kuglarstwo broni się tą drwiną. *W.*

Stopnie szkolne.

Wyznaczeni do rewizyi zakładów szkolnych delegaci—jak donosi *Kuryer codz.*—zauważyli, że wszędzie ilość stopni, stawianych uczniom, powiększana jest zapomocą znaków *plus* i *minus*. Ponieważ dodatki te sprzeciwiają się wydanym dawniej przepisom, przeto władza naukowa poleciła okólnikiem, aby na przyszłość nauczyciele i nauczycielki oznaczali postępy uczniów cyframi okrągłemi. Jest to rozporządzenie bardzo słuszne. Przez dodanie bowiem owych znaków, nieraz podwójnych, a nawet potrójnych, powstaje 25 do 30 stopni, które mają służyć do określenia uzdolnień i pracy ucznia. Ponieważ zaś w tem określaniu niepodobna zastosować miar i wag o nadzwyczajnej ścisłości, więc właściwie jest ono czczą zabawką, wprowadzającą niepotrzebny zamęt. Cóż np. wyrażać może jedynka z dwoma plusami lub trójka z dwoma minusami? Jest to już jakaś subtylizacya, której wcale nie rozumie ani uczeń, ani nauczyciel. Przed laty 20 kilku stosowano jakiś czas w gimnazyach tutejszych tylko trzy stopnie: 1 (niedostateczny) 2 (dostateczny) i 3 (celujący). Były to miary zupełnie wystarczające; jeżeli zaś dziś jest ich aż pięć, to chyba nauczyciel posiada w nich dostateczną możność wyrażenia wszystkich różnic swego pedagogicznego sądu.

Humorystyczna krytyka.

Ani literaci warszawscy, ani pisma nasze nie odznaczają się solidarnością i umieją z dziwnym spokojem przypatrywać się, jak jeden drugiemu zdejmuje skalp z głowy. W ciągu ostatniej ćwierci wieku naliczyliśmy może dwa lub trzy wypadki, w których paru przyjaciół ujęło się za cudzą krzywdą. Po za tymi wyjątkowymi objawami nie ograniczano swobody głupstwu lub złej woli i pozwalano im harcować bez cugli. Z pewnem też zdziwieniem spostrzegliśmy, że *curiosum* krytyczne p. Józefata Nowińskiego w *Ateneum* o Konopnickiej wywołało kilka protestów i że nawet *Tygodnik ilustrowany* oświadczył się przeciw niemu. Ale bo też p. Józefat Nowiński doszedł do tej granicy niefortunnego junactwa i bezwiednego humoru, do której rzadko komu udało się dotrzeć. Najwyższy obecnie nasz talent poetycki, który — według Kraszewskiego — „może stanąć bez obawy obok największych naszych mistrzów,“ ten olbrzymi talent, o ile nie śpiewa smutnie (bo wtedy dogadza nawet p. Józefatowi Nowińskiemu), ma zdobywać się jedynie na: „sentymentalne, a beztreściwe często gadulstwo,“ „na dziwaczne i nieudolne kombinacye słów bez znaczenia,“ na „nieustanne sprzeczności logiczne,“ na „opowiadanie rymowane o rzeczach, których w swoim czasie pełne były wszystkie pisma brukowe“ itd.“ Słowem, dosyć dużo pokrewieństwa z Rozbickim. Ażeby czytelnikowi dać pojęcie o słuszności tych potępień, przytoczymy najokropniejszy z grzechów poetyckich Konopnickiej, który p. Józefatowi Nowińskiemu wydobył okrzyk grozy:

W zachodu złotą płynnem dal
Po szmaragdowej fali,
Na krańcu nieba ogniem zórz
Wielka się łuna pali.
Ogromny słońca płonie stos
Na samej nieb krawędzi,
A taka cisza, że bez tchu
Łódź nasza w ogień pędzi.

Myślicie może, że to jest prześliczne? Posłuchajcie p. Józefata Nowińskiego: „*Izłość, i wstyd* (!) ogarnia mnie przy czytaniu tego wierszyka!.. Pomijam już „złotą czerwień zachodu“ i ciszę, która niby wiatr w żagiel dmący jest tu przyczyną pędzenia łodzi „bez tchu“ (p. Józefat Nowiński, który wogóle odznacza się nadzwyczaj małą pojętnością, nie rozumie, iż „bez tchu“ znaczy właśnie bez wiatru, dmącego w żagiel), ale co mnie już *do głębi duszy oburza*, to owa szmaragdowość wody, która dla patrzącego *w kierunku* (p. Józefat Nowiński chce koniecznie patrzeć w kierunku) łuny zachodowej... musi czerwienią właśnie odbijać, mogąc się nawet przy ciszy zupełnej morzem krwi zdawać. Oczywiście my, ucywilizowani, tylko pod nogi zwykliśmy już patrzeć.“ P. Józefata Nowińskiego ogarnia „i złość i wstyd,“ nas tylko śmiech, tem większy, iż nie słyszeliśmy dotąd, aby kogoś szmaragdowość „oburzała do głębi duszy.“ Czerwoność jeszcze prędzej wywiera podobny wpływ na pewne organizacye.

A gdybyście przeczytali całość wypracowania p. Józefata Nowińskiego, gdybyście widzieli, jak on z wielkim rozmachem zabiera się do sekcyi talentu Konopnickiej i chce zatopić nóż maślany, który zamiast krajać, rozmazuje mu się po ręce, jak śmiałemu tytanowi, który zamierza zwalić bożyszcze, mimowoli uginają się ciągle pod niem kolana, jak zapomniawszy o swej „złości i wstydzie,“ wyznaje, że K. zdobywa się na „wspaniały wyraz uczucia,“ „niezwykłą siłę, przezroczystość słowa, głębokość i oryginalność uczucia i myśli,“ lub „staje na wyżynach rozumienia ducha ludzkiego“ itd. — wybuchalibyście nieustannym śmiechem. A jakże pyszny jest jego wykład o „wielkim poecie“ (str. 309—311)! Prawdziwy wzór „nieudolnej kombinacyi słów“! Przytem ów surowy sędzia mistrzyni słowa umie tak wytwornie pisać: „i nie kwiecia na ołtarzu tego właśnie Molocha złożonego“ (Moloch złożony?) lub „wspaniały wyraz uczucia, naprawdę już kawał świata obejmującego“ itp. Wobec takiego znawstwa i odwagi wyznać trzeba, że jeżeli „światło natchnień poetki przelotne jest i małe,“ to światło natchnień krytycznych p. Józefata Nowińskiego jest tak małe, że bodajby było przelotnem i nie zabłysło już ani razu — zwłaszcza w piśmie poważnem, które nie mniema, że—mowiąc słowami Konopnickiej—„ten największy, co najdalej pluje.“ Pierwsza część jednak tego życzenia może się nie spełni, bo p. Józefat Nowiński uwiadamia nas z dumą, że od jakiejś tam daty ani jego „sposób (?) otrzymywania wrażeń, ani poglądy na świat nie uległy zbyt wielkiej zmianie,“ podczas gdy zarówno ten „sposób,“ jak te „poglądy,“ zbyt szmaragdowe, powinnyby przepaść bez śladu. A jeżeli dalej niewzruszenie trwać będą? Ha, w takim razie dziękując p. Józefatowi Nowińskiemu za chwilkę szczerej wesołości, powtarzać będziemy jego słowa: „Co za ton, co za bezdeń nieświadomości i rozumienia o sobie!“

W Towarzystwie zachęty.

W Towarzystwie zachęty sztuk pięknych przedstawiono dużo wniosków. Przyznać trzeba, że w tych wnioskach było dużo fantazyi, a mało pomysłów praktycznych. Tak np. jeden z nich żądał, ażeby Towarzystwo wydawało własny swój organ. Szybko je też spychano z porządku dziennego. Natomiast żywe i długie rozprawy wywołał zarząd swojemi propozycyami. Najważniejsza dotyczyła lokalu. Jak wiadomo, Towarzystwo od lat wielu zbiera fundusz na budowę własnej siedziby, która przyrasta jeszcze wolniej, niż mchy na kamieniu. Obecnie rozprawiano nad tem: czy jeszcze wynająć jakieś pomieszczenie, czy przystąpić do budowy gmachu na placu Magistratu, czy też kupić własny. Ostatecznie wybrano komisyę (oj, źle!), która ma całkowicie tę sprawę załatwić, mianowicie wyszukać plac, ogłosić konkurs architektoniczny itd.

Jedynym tedy poważniejszym rezultatem ostatniego zebrania członków Towarzystwa zachęty sztuk pięknych jest przysunięta nieco ku spełnieniu myśl — własnej siedziby.

Dekadentyzm reporterski.

Onego czasu szydzono ostro z plotkarstwa reporterów warszawskich, ich manii używania wykrzykników angielskich i urywanego stylu, który miał tę zaletę, że stwarzał mnóstwo niedokończonych wierszy i pozwalał zgarniać większe honorarya. Ale moda jest kapryśną. Dzisiejszy reporter wyrzekł się dawnych forteli. Angielszczyzna poszła w zapomnienie, wiersze bywają doprowadzone do naturalnego końca w łamie, zwłaszcza odkąd niektóre redakcye przestały włączać do rachunku urywane w pierwszej połowie. Natomiast inne kwiatki zjawiły się na błoniu dziennikarskiem. Talenty reporterskie, bo pomiędzy ciżbą tych plotkarzy znajdują się, jak wszędzie, mistrze i gawiedź, zaczęły przejmować właściwości dekadentyzmu i symbolizmu, które pozwolimy sobie według utartego terminu ochrzcić nazwą reporterskiego *fin de siècle'u*. Ażeby zrozumieć obecnego mistrza warszawskiej reporteryi, trzeba koniecznie samemu wziąć do ręki te bukieciki. Obejrzmy jeden z nich.

A zatem.

„...Marczelówna fatalnie jest zdenerwowana...

Ogniem ziejące oczy naszej primadonny dramatu nabrały podwójnie fosforycznego blasku, energiczne ruchy zdwoiły szybkość obrotów, a potężny głos, który wybucha lawą namiętności lub też pieści czarem spokojnego uczucia, zdaje się drżeć i falować... bo, Marczelówna bardzo jest zdenerwowana.

Naturalnie, iż nie ma do tego najmniejszego powodu, cały bowiem rozstrój wynikł z... tremy, proszę się nie dziwić: artystka jest stremowaną „na niedzielę,“ to znaczy chodzi jej o poranek benefisowy. Wprawdzie p. Helena wie dobrze, iż jest ulubienicą publiczności, więc też ta publiczność otacza ją niezwykłem uznaniem, wie, że kasa idzie dobrze, bo wiele już biletów rozsprzedano, niemniej wszelako artystka jest zaniepokojona.

Panie — powiada do naszego chochlika teatralnego — ja umrę ze strachu przed tą niedzielą... jestem najnieciepliwszą kobietą pod słońcem... w dzień próby mam tremę i w kieszeni list, że siostra chora na wsi.“

Reporterski dekadentyzm! Owa poufale nazywana p. Helena, owe tremy, chochliki teatralne itd. (reporter sili się na dowód, że zna żargon), owe nawet wielokropki, wszystko to jest charakterystyczne.

W.

Potrzeba halli koncertowej.

Czy Warszawa umuzykalniła się znacznie ostatnimi czasy, czy też wobec mniej licznych rautów prywatnych chętniej, niż dawniej, zbiera się w miejscach publicznych, trudno powiedzieć dokładnie; faktem jest, iż nigdy przepełnienie na koncertach nie dochodziło do tego stopnia, jak teraz. Szczególnem powodzeniem cieszą się także środowe wieczory Towarzystwa muzycznego i kwartalne popisy Lutni, może dlatego, że przystępne ceny miejsc pozwalają nietylko szczęśliwym wybrańcom fortuny podążać do przybytku sztuki. Sale Redutowe, w których wygodnie, bez ścisku, może się pomieścić jakieś 700 do 800 osób, ściągają ich zwykle przeszło tysiąc, a, jak na pierwszym historycznym koncercie Tow. muz. 1350, co łącznie z chórami i orkiestrą doszło najmniej do 1500. To też trudno pojąć, co się działo wówczas

niczem ogień piekielny i spiekota podzwrotnikowa. Zdarzało się, że ci, co raz już wypróbowali katuszy tłoku i żaru łaźni rzymskiej, nie zechcą przejść przez nie po raz drugi dobrowolnie. Gdzie tam! Zaledwie afisze ogłosiły występ pp. Cotogniego i Kreislera, tłum wezbrał na nowo, a im temperatura wyższa, tem bardziej rączy do brawa i wywoływania bisów. Cotogni resztkami pięknego swego niegdyś głosu śpiewał dwa razy nad program i tylko błagalne przemówienie p. Noskowskiego za nim do serc chciwej wrażeń publiczności uchroniło go od dalszych naddatków. Kreisler, jako młodszy, sypał je natomiast bez liku i miary, a słuchacze, prażeni, jak kasztany w piecykach, obsypywali go za to burzą oklasków i okrzyków. Można było sądzić przez chwilę, że się jest wśród entuzyastycznych włochów, których gorąco nie ubezwładnia, gdyż przywykli do niego.

Jeżeli zapał muzyczny będzie wzrastał co rok w tym stopniu, jak ostatniej zimy, to w końcu Tow. muzyczne i Lutnia zawieszą chyba przyjmowanie nowych członków. Jedyna rada dla zapobieżenia tej smutnej konieczności postawienie dużej, dobrze wentylowanej halli koncertowej, gdzie za chwile słodkich rozkoszy muzycznych nie pokutowałoby się brakiem tchu i omdleniem.

Projekt budowy gmachu Tow. muzycznego kołacze się już oddawna; fundusze na ten cel jednak napływają powoli. Koncerty letnie, urządzane dla powiększenia ich corocznie, nie mają powodzenia. Jeżeli członkowie zarządu nie obmyślą czegoś nadzwyczajnego, co nagle kasę wzbogacić by mogło, a publiczność nie dopomoże im w tem dobrą wolą swoją, to przez długie lata jeszcze, niestety, ciekawe i wielce urozmaicone koncerty w salach Redutowych będą dla nas widmem nieskończonych katuszy. *Selika.*

Pośrednictwo w wyszukiwaniu pracy.

Z pięciu sekcyj oddziału warsz. Tow. pop. rusk. prz. i han. dotychczas jedna tylko techniczna pomyślała o niezmiernie ważnej pomocy dla pracowników. Niedawno p. Wawrykiewicz złożył projekt biura pośredniczącego w wyszukiwaniu pracy dla techników, sekcya zaś, po porozumieniu się z władzami Towarzystwa, poczyniła kroki ku załatwieniu strony formalnej. Oto jest osnowa przepisów dla nowej instytucyi: Poszukujący pracy powinni złożyć w biurze piśmienną deklaracyę, z wyłuszczeniem wszelkich niezbędnych szczegółów o swej osobie i uzdolnieniu. W razie otrzymania posady, technicy zapisani powinni zawiadomić o tem biuro; w razie zaś przeciwnym — co miesiąc odnawiać podania. Za otrzymanie posady należy wnosić pewien procent ratami od pobieranej pensyi w ciągu dwóch lat. Biuro prowadzić będzie kontrolę nad tymi, którzy składają podania; kontrola dołączać będzie świadectwo ich sprawowania tudzież stopnie uzdolnienia. Między innemi obowiązkiem nowej instytucyi ma być rozpowszechnianie wiadomości o istniejących gdziekolwiek posadach oraz o kandydatach, poszukujących zajęcia. Interesowani otrzymują bezpłatnie rekomendacye, dotyczące technika. Z pomiędzy kilku kandydatów do jednej posady przewaga będzie po stronie tego, który dawniej stara się o nią, lub za którym przemawia wyższe uzdolnienie. Obecnie wstępna działalność w tej mierze już się rozpoczęła. Prezydyum prowadzi spis miejsc wakujących tudzież techników, poszukujących posady. (Dla interesowanych z obu stron adres podajemy: Krakowskie-Przedmieście nr. 66 Tow. przem. i hand.).

Sam fakt stworzenia pośrednictwa jest tak dodatni, że wobec niego słabną braki w organizacyi, które zresztą łatwo z czasem dadzą się usunąć. Zapytamy tylko twórców, dla czego pracownicy poszukujący posad, mają płacić aż dwa lata, a ofiarujący zajęcie przedsiębiorcy korzystają z pośrednictwa bezpłatnie? Jeżeli chodzi o niezrażanie tych ostatnich, to metoda jest chybiona. Każdy przedsiębiorca tyle odnosi korzyści z dobrego pracownika, że jakkolwiek interes i „powaga“ nie pozwalają mu tego powiedzieć, jednakże możność znalezienia kandydata, popartego pewnemi rekomendacyami, daje mu taką rękojmię „dobrego interesu,“ że chyba jakaś drobna kwota za wynalezienie sił i uzdolnień użytecznych nie będzie środkiem odstręczającym, a biuro zdobywszy tym sposobem silniejsze podstawy materyalne, skuteczniej mogłoby działać.

Szczerze życzymy powodzenia nowej instytucyi, innym zaś sekcyom radzimy pójść za przykładem technicznej. Pracownicy handlowi i przemysłowi mają swoje pośrednictwo przy własnem Towarzystwie, w praktyce zaś stwierdzili, że częstokroć ich dobre chęci rozbijają się o brak odpowiednio przysposobionych kandydatów. Może się to zdarzyć i w innych działach pracy; ale okoliczność ta nie powinna zrażać. Pośrednictwo takie przydałoby się bardzo przy sekcyi rzemieślniczej i rolnej. Co do tej ostatniej, miejmy nadzieję, że gdy minie okres rozpraw o parcelacyi, likwidacyi i dewastacyi, ktoś może i tę myśl podsunie. Właśnie nadarza się już dziś sposobność z powodu zajęcia się losem oficyalistów wiejskich. *P.*

Praca ręczna.

W tych dniach kuratorya tutejszego okręgu naukowego otrzymała od ministeryum oświaty bardzo ważny okólnik w sprawie stosowania zajęć fizycznych przy wychowaniu szkolnem. W ostatnich latach tu i owdzie były one praktykowane, lecz nie obowiązkowo. Tam, gdzie dokonywano te czynności prawidłowo, wykazały one korzyści, jako środek ułatwiający ogólny rozwój wychowańców. „Zajęcia ręczne — mówi okólnik — przyuczając wychowańców do uwagi i akuratności, dają im jednocześnie możność stopniowego przyzwyczajania się do pracy fizycznej w ogólności. Nadto, rozwijając pewność oka i umiejętność władania rękami w pracy różnorodnej, ułatwiają roboty wstępne do rzemiosł rzeczywistych i pomagają do skuteczniejszego spełniania robót domowych, co w przyszłości może oddziałać korzystnie na rozwój miejscowego przemysłu drobnego i ogólnego.“ Okólnik kładzie nacisk na konieczność pracy ręcznej w szkołach tej kategoryi, gdzie dzieci są przysposabiane nie do działalności naukowej, lecz praktycznej. Na szczególną uwagę pod tym względem zasługują szkoły miejskie i dwuklasowe wiejskie. Wykład pracy ręcznej należy powierzać nauczycielom specyalnie przysposobionym w szkołach właściwych i kursach czasowych. Ministeryum oświaty, nie poprzestając na tych uwagach i poleceniach, skierowanych do kuratorów, postanowiło starać się o wyjednanie u skarbu odpowiednich na ten cel środków pieniężnych. Nadto, przy wydziale komitetu naukowego do spraw nauki technicznej i fachowej utworzono oddzielną komisyę, która się zajmie rozpatrzeniem sprawy wykładów pracy ręcznej w rzeczonych szkołach.

Jest to zwrot doniosły, zasługujący na podkreślenie, a tem ważniejszy, że nie leży w dziedzinie projektów i wniosków przemijających, lecz wchodzi odrazu w zakres czynu. Skutki zaś tego uzupełnienia w wychowaniu szkolnem łatwo przewidzieć i ocenić. Do szkół wiejskich i miejskich uczęszcza dziatwa, która natychmiast po opuszczeniu zakładów bierze się do pracy fizycznej, bądź zarobkowej, bądź w formie praktyki rzemieślniczej. O ileż ta młodzież będzie sprawniejsza i o ile szybciej doprowadzi do pewnej skali wartość i produkcyjność swej pracy. *—ir.*

WIĄZKA NIEDORZECZNOŚCI.

Jeden z naszych czytelników, p. J. D., zwraca uwagę na niezwyczajnie wielką wiązkę niedorzeczności, któremi wydawca znanego „Kalendarza rolniczego“ uraczył nabywców tej książki z dzieła jakiegoś Hensla. Podajemy ten ciekawy wykaz bez objaśnień, gdyż brednie są tak wyraźnie, że każdy ukształcony czytelnik sam je skontroluje:

Str. 7. „Czyż w głazach nie przechowuje się czasem ogromny zapas życia?.. Czy nie mieszczą one w sobie zasady duchowej czy gazowej w najwyższej spotęgowanej formie? I ich pozorny spokój czyż nie przedstawia ducha bardzo mocnego?.. A gdyby i głazy miały także życie?.. Ja im to przyznaję tutaj, one mają życie!

Str. 42. Węglan wapna uważa autor jako formalny magazyn cukru; cukier zaś dostarcza z jednej strony krochmalu, z drugiej zaś tłuszczu, a w połączeniu z amoniakiem białka, zatem głównych pokarmów, służących do pożywienia. Cukier stanowi ogniwo, wiążące świat mineralny z roślinnym i zwierzęcym i jest najpierwszym produktem ciepłych promieni słonecznych, jeśli takowe padają na zwilżony węglan mineralny...

Str. 94. Jeśli skupimy pewną ilość elektryczności, powstanie światło; jeśli światło doprowadzimy do pewnego skoncentrowania, wytworzymy ciepło; jeśli pewną substancyę ogrzejemy dostatecznie, to się rozszerza, rozdyma i ostatecznie wprowadzamy ją w ruch; jeśli dwa ciała będą się poruszały ku sobie, w końcu muszą się do siebie zbliżyć i znaleźć tuż przy sobie. Takie zbliżenie i przyciąganie elementów niejednorodnych, nazywamy chemizmem...

Str. 126. Falowanie powietrza, jeśli jego liczba przechodzi 16 na sekundę, zamienia się w ton. Woda rozgrzana wyżej nad 100^0 C., zamienia się w gaz, jeśli dozę przybywającego gorąca nie jest w stanie pochłonąć. I jeśli wreszcie postać gazu nie wystarcza, aby zrównoważyć siłę rozszerzającą, wówczas występuje elektryczność jako ultima ratio i następuje rozkład...

Str. 138. Jak słońce ma swoje jądro i atmosferę, tak podobnie i ziemia; jej jądro stanowi ląd stały i morze, otaczające wewnątrz zamknięty wodór itd.

Str. 151. Zapach jest wibracyą, podobnie jak i przestrzeń; jedno i drugie może zginąć, a natomiast za zapach pojawi się stan stały, a za przestrzeń większa ciężkość gatunkowa.

Str. 155. Gdy więc 6 cyanów w niebieskawem świetle siarki i fosforu, chemicznie się skupiły bez rozkładu, wnosić z tego można, że symetrya zastąpiła rozkład, gdyż forma symetryczna jako przeciwstawieniem nieładu jest równoważnikiem rozkładu. To nam odsłania tajemnicę krystalizacyi.

Str. 176. Każde zniszczenie formy organicznej, poprzedzające nowe odrodzenie w innej formie, musi przejść proces rozkładu, nazywany gniciem. Gnicie więc jest stanem przejściowym, przelotnym, jest to rozbicie, rozpadnięcie, rozdźwięk. Gnicie możnaby nazwać dysharmonijną wibracyą, dążącą do harmonii. Gnicie, powiada autor, to podnieta, to drżenie, dźwięczenie, głos, woń, światło. Gnicie wreszcie jest rodzajem fermentacyi.

Str. 185. Chemicznie dowiedzioną jest rzeczą, że zapach bierze udział w nadawaniu formy muchom i robakom itd.

Str. 215. Najdalej oddalona od słońca, najwięcej zewnętrzna atmosfera wydaje woń róż $C_{16}H_{32}$, która w formie utlenionej występuje w mózgu w postaci kwasu palmitinowego $C_{16}H_{32}O_2$. Im głębiej zapuścimy się wewnątrz organizmu, tem więcej odrażające wonie tam spotykamy (fosfoamin, siarkowodór), podobnie jak w atmosferze słońca.

Str. 271. Burak jest owocem ziemi, jabłko owocem drzewa; mimo jednak tej różnicy, stoją z sobą w blizkiem pokrewieństwie, gdyż również w nim, jak i w melasie znajdujemy obok kwasu glutaminowego także kw. asparaginowy $C_4H_7NO_4$, mający tylko o 1 węglowodór mniej od tamtego. Jeśli zawarty w nich amoniak wypędzimy przez

potaż lub wapno lub chemicznie zwiążemy przez kwasy, pozostanie kwas jabłkowy $C_4H_4O_4H_2O$, który w połączeniu z potażem lub wapnem znajdujemy we wszystkich dojrzałych owocach. Lecz jeśli nie dostaje potażu lub wapna, wówczas amoniak zastępuje ich miejsce i wytwarza się mucha wiśniówka (Trypeta signata), albo robak owocowy (Carporapsa pomonella), płamiec agreściarz (Zerene grossuloriata) i inne.

Str. 297. Liczne przypadłości chorobliwe, zwłaszcza u dzieci (ospa, szkarlatyna, skrofuły, dyfterytyzm), znajdują swoje wyjaśnienie w spożywanem mleku, ubogiem w związki wapna, pochodzącem od krów żywionych paszą wyrosłą na gruncie wyczerpanym z wapna a nawożonym gnojem zwierzęcym. Ponieważ preparaty wapienne okazały się skuteczne przeciw dyfterytyzmowi, skrofułom etc. wnosić należy, że tych związków we krwi nie dostawało i uważać jako przyczynę choroby.

Str. 323—324. Skąd się wziął fosfor i siarka? Ja mówię: że jak chemikom nie udało się dotąd zrobić cukru z kwasu węglanego i wody, chociaż wszyscy się na to zgadzają, że jest z tego utworzony, słońce jednakże tej przemiany dopełnia, tak podobnież nie są w stanie fosforu i siarki wytworzyć z granitu, słońce jednakżeż dopełnia tej sztuki, według moich obserwacyi w ten sposób, że potas w stosunku wagi atomowej 39 i sód w stosunku wagi atomowej 33 w fokusie słonecznej elektryczności zostają stopione na fosfór, dają wagę molekularną 69. Podobnież wapń z wagą atomową 20 i magnesium z wagą atomową 12 wytwarzają siarkę z wagą molekularną 32."

Powyższe dosłowne cytaty zaledwie w słabem świetle przedstawiają „dzieło" p. Hensla, przepełnione na każdej stronie (a jest tego dobrego za rs. 1 — 367 stron) podobnemi bzdurstwami.

W DALI.

Łódź. Miasto szybko wzrastające, rozwija się jednostronnie. Ciągle przybywają nowe fabryki i sklepy, ludność napływa z dalekich i blizkich stron, słowem życie wytwórcze i spekulacyjne kipi, a jednocześnie podstawowe warunki istnienia są w zupełnem zaniedbaniu i cierpią od nacisku tej właśnie spekulacyi i rozrostu produkcyi. Najohydniejsze są mieszkania. Oto co o nich pisze (w *Wieku*) jeden ze stałych mieszkańców tego miasta: „Typ ogólny, to lichota pod względem technicznym i estetycznym. Wygód żadnych lub mało. a ceny — bezwstydnie wysokie. Właściciele nowych kilku domów przy ul. Widzewskiej, trzeciorzędnej, pobierają np. za lokal na 3-em piętrze, złożony z dwóch pokojów i kuchni, 280—300 rs. Mieszkania te nie mają wodociągów i piwnic, są źle wykończone, zimne. Na ulicy Piotrkowskiej ceny są o 25 do 50% wyższe, a lokale prawie równie liche." Przy tak wysokich cenach lokator obowiązany jest własnym kosztem oświetlać schody i obywać się bez stróża. O jakichkolwiek naprawach, chociażby najpilniejszych, gospodarz słyszeć nie chce. Pomimo że ludność pobiera swoje zarobki tygodniowo lub miesięcznie, właściciele domów prawie powszechnie wprowadzili zwyczaj ściągania komornego kwartalnie z góry; przytem lokator tak jest obsaczony uciążliwymi warunkami, że w zupełnej zależności pozostaje wiecznie na łasce gospodarza. „Sprowadzasz się, biedaku — skarży się interesowany — płać więc z góry za kwartał i wystaw weksle na komorne do ko końca roku z datami kwartalnemi." Tym sposobem kamienicznik trzyma lokatora w garści i zdyskontowawszy weksle, może mieć odrazu należność za rok cały. Podobne warunki rozciągają się czasem na dwa i trzy lata. Na takich podstawach potwornie rozrasta się spekulacya budowlana. Ażeby wznieść kamienicę, trzeba mieć plac i trochę kredytu. Podobno są nawet takie wypadki, że gdy dom przechodzi w ręce innego właściciela, żąda on nowych weksli, niezależnie od wystawionych już poprzedniemu gospodarzowi. Na tę ciemną stronę wyzysku i niewygód dochodziły nas już nieraz ustne skargi. O dobre mieszkanie trzeba zawczasu tak silnie dobijać, jak i o ćwiartkę losu loteryjnego do kolektora. Porządkom zaś panującym w kamienicach łódzkich mieliśmy sposobność dobrze się przyjrzeć. Na odszukanie stałego mieszkańca miasta parę razy straciliśmy dzień cały. Niema ani listy lokatorów, ani stróża; jeżeli zaś przypadkiem znajdzie się ten ostatni, to nie ma najmniejszego pojęcia o tem, kto mieszka w całej kamienicy.

Kalisz. Otwarta przed trzema laty sala zajęć dla dziatwy ubogiej przy miejscowem Towarzystwie dobroczynności, daje przytułek dzieciom bez opieki w wieku lat 11—14. Chłopcy uczą się koszykarstwa i wyrobu kapeluszy słomkowych, słomianek, dywaników, chodników itd., dziewczęta zaś — szycia, haftowania i cerowania. W ciągu roku ubiegłego pracowało tam ogółem 35 dzieci (11 chłopców i 24 dziewczynki). Po wyjściu z zakładu dziewczęta przyjmują płatne zajęcia w fabrykach haftu, chłopcy udają się na praktykę do majstrów lub trudnią się w domu wyrobem koszyków. Za roboty zarząd sali osiągnął 250 rs. 10 kop. Budżet sali wynosi 830 rs. 61 kop. Koszt dzienny utrzymania dziecka wraz z nauką $11\frac{1}{2}$ kop.

Żytomierz. Spadkobiercy Izabeli z hr. Walewskich ks. Gagarynowej sprzedali z wolnej ręki obszerne klucze baranowieckie i nowosielskie w pow. zwiahelskim. Oba, jako część fortuny ks. Lubomirskich, przeszły do Józefiny z ks. Lubomirskich hr. Walewskiej, następnie zaś do córki tej ostatniej, ks. Izabeli Gagarynowej. Dobra te kupili grecy: Gripari, konsul grecki w Sewastopolu i Obopuro. Za ogólny obszar 14,000 dziesięcin zapłacili oni 840,000 rs. Przez sam środek tych majątków przechodzi Brzesko-Kijowska linia kolei Południowo-Zachodnich z najbliższą stacyą Połonne. Niezmiernie są tam bogate lasy stare, stawy zarybione, pokłady gliny białej, skutkiem czego od stu lat istnieje fabryka porcelany w Baranówce (własność pp. Mezerów). — Ceny opału ciągle wzrastają, co jest przypisywane prawu ochrony lasów, które wyznacza mniejsze, niż dawniej poręby. — W Rżewie (gub. wołyńska) otworzono wielki tartak, fabrykę posadzek, materyału budowlanego itd. Zakłady te (własność J. G. Blocha) mają wyrabiać towar dla okolicy i Królestwa. Koszt budowy i urządzenia wynosi około miliona rubli.

Moskwa. Przy ministeryum dóbr państwa powstała komisya dla organizacyi oddziałów: rolnego i wogóle wiejskiego na wystawie w Niżnym Nowgorodzie 1896 r. Urządzone będą tam oddziały: rolnictwa, owocarstwa i warzywnictwa, hodowli ryb i rybołówstwa: oddział leśny i technologii leśnej i — drobnego przemysłu rękodzielniczego wiejskiego. Nadto, postanowiono utworzyć zupełnie samodzielny oddział północny.—W oczekiwaniu zawarcia traktatu z Niemcami, spekulanci moskiewscy zakupują masy zboża, aby wysłać je zaraz po otwarciu granicy niemieckiej. Niektóre koleje żelazne, w przewidywaniu zwiększonego ruchu, przygotowują odpowiedni tabor wagonów towarowych.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Sekcya handlowa. Nie wiedzie się jej od dawna; cierpi anemię i ledwie od czasu do czasu daje znaki życia. Po kilku miesiącach z nadzwyczajnym trudem udało się przed dwoma tygodniami zwołać posiedzenie i gdyby nie to, możeby wkrótce zapomniano o jej istnieniu. Jest to zagadka tem dziwniejsza dla nas, że ów odłam Towarzystwa właściwie powinien mieć najobszerniejszy zakres działalności. Handel jest podściełiskiem wszystkich innych sekcyj, tu przepływać muszą wszelkie najdonioślejsze sprawy. Na ten żywot suchotniczy prezydyum zwróciło uwagę i zapytało obecnych: Dlaczego np. sekcya rolna i rzemieślnicza w ostatnich czasach odznaczają się takiem ożywieniem i nagromadzeniem spraw ważnych, a my jesteśmy w śnie pogrążeni? Dlaczego np. traktat handlowy, regestr firmowy i w ostatnich czasach tak silnie wyszrubowana kwestya zniżenia się wartości srebra, przeminęły w naszej uwadze bez śladu? Wszak mamy po to swoją sekcyę, ażeby w niej wszelkie tego rodzaju zjawiska, żywo nas dotyczące, rozstrzygać poważnie, wyczerpująco i wszechstronnie? P. Suligowski na to pytanie w pewnej mierze odpowiedział: Po referaty trzeba się schylić, zakołatać do specyalistów. Tymczasem prezydyum czeka, aż oni sami przyjdą.

My, w roli ubocznego spostrzegacza, pochwyciliśmy inny, wielce znamienny szczegół. Niektórzy członkowie, zbyt rozdęci rublem i blagą, przedstawiają żywioł wielce odstręczający referentów. Wyborny przykład w tym względzie dał nam odczyt Krzywickiego na ostatniem zebraniu o stosunkach przemysłowych amerykańskich. Niechętni prelegentowi, być może z pobudek głębiej płynących, zasypali go zarzutami. Dla jednych było cyfr za mało, dla drugich za dużo. Niejaki zaś p. Nelken, finansista, wprost oburzył się na to, że wykład jest zbyt popularny, że czytał już w *Kuryerach* o tem, co Krzywicki mówił. P. Nelken zapewne czyta także telegramy w tych samych *Kuryerach* o różnych zwyżkach i zniżkach, a jednak gdyby mu w najpopularniejszy sposób opowiedziano, że jego gra finansowa nie warta funta kłaków z takich a takich „konjunktur," nagle wybujałych na rynkach wszechświatowych, złapałby się nieborak za głowę, a mówcy gorąco podziękowałby za jego przestrogę. Byłem niegdyś świadkiem, jak rzetelnie ograniczony osobnik ogromnie się obraził, gdy go jakiś poważny bywalec zagadnął: Czy pan wiesz, co to jest Ameryka? Na to podszedł inny z obecnych, człowiek wielce wykształcony, i dodał: — Ja nie wiem, panie, proszę mi opowiedzieć! Jakoż wszyscy z wielką ciekawością wysłuchaliśmy takich szczegółów, które chociaż nieraz przesuwały się przez szpalty dziennikarskie, lecz bez właściwego zestawienia i oświetlenia nie miały wartości i interesu. Coś podobnego usłyszeliśmy poraz drugi z powodu pogadanki Krzywickiego. Obarczył prelegenta zarzutami także p. Rycerski, ale te przynajmniej z jego stanowiska były względnie logiczniejsze. Oponent przedewszystkiem starał się podnieść znaczenie przemysłu rękodzielniczego obok maszynowego i udowodnić, że pierwszy nigdy nie będzie pożarty przez drugi. Po za tem zarzuty były oparte na grze i podchwytywaniu słów i wreszcie na tem, że inaczej na zjawiska amerykańskie patrzy ten, kto zna Anglię, a inaczej — kto jej nie widział wcale. Stąd dowiedzieliśmy się, że p. Rycerski był w Anglii. *P.*

Banki ziemskie. Dziewiąty zjazd przedstawicieli akcyjnych banków ziemskich rozprawiał nad systemem i zadaniem tych instytucyi tudzież dał powód do ważnych reform. Głównem zadaniem było niezwłoczne możliwe zniżenie opłat, składanych dziś przez dłużników, ale pod warunkiem, iżby cel ten mógł być osiągnięty bez wywołania zbyt wielkiej różnicy w dochodach tych przedsiębiorstw i w ustalonych cenach akcyi. Cała zatem rzecz ograniczy się tylko na opóźnieniu przyrostu zysków lub na nieznacznem ich zmniejszeniu. Z tego powodu minister skarbu upoważnił ziemskie banki akcyjne do następującego zakresu działań: 1) Wydawanie pożyczek na lat 10, $12\frac{1}{2}$, $14\frac{1}{2}$ i $16\frac{1}{2}$; 2) emitowanie $4\frac{1}{2}\%$ listów obok 5%; 3) Zniżenie do $\frac{1}{2}\%$ rocznie opłat, pobieranych od dłużników na rzecz kapitału rezerwowego, dywidendy i wydatków na administracyę. Do tej zniżki w rozmiarach $\frac{1}{20}\%$ od całkowitej sumy pożyczki w półroczu, pozwolono bankom przystąpić w ten sposób, iżby począwszy od 1-go lipca 1899 r., opłaty były pobierane w stosunku $\frac{1}{2}\%$ i ażeby od wszelkich udzielonych pożyczek pobierano już od 1 lipca 1894 r. półrocznie nie wyżej nad $\frac{3}{4}\%$ od po-

życzonej sumy, ze stopniową zniżką opłaty (w każdem półroczu o $^{1}/_{20}\%$) aż do normy procentowej. Postanowiono wreszcie postarać się w drodze prawodawczej, aby banki powyższe mogły udzielać pożyczek miastom i instytucyom ziemskim.

— We wsi Mlociny powstaje huta i fabryka trumien szklanych.

— *Gazeta losowań* zwraca uwagę, iż z zaliczeń na zastaw zboża, udzielanych przez Bank państwa, dotąd nie korzystano w Królestwie tak dalece, jak by się spodziewać należało. Ostatni wykaz przekonywa, że tylko dwa oddziały banku udzieliły owych zaliczeń: piotrkowski na 4,000 rs. i płocki na 11,000 rs.

— W nowej ustawie maklerskiej mieści się przepis, na którego zasadzie maklerami giełdowymi w przyszłości mogą być jedynie poddani ruscy.

— Zatwierdzono nowy etat departamentu handlu i przemysłu w wysokości 237,000 rs.

— Francuskie ministeryum wojny zwróciło się do ziemian z gub. południowych o dostawę 14,000 kilogramów szynek do Hawru.

PRASA RUSKA.

Sądy gminne.

Z powodu zapowiedzianej reformy sądów gminnych w Królestwie Polskiem, *Warszawskij Dniewnik* zamieścił artykuł, w którym zaznacza, iż jako zasadę w projekcie wniesionym do Rady państwa, przyjęto następujący pogląd: „Sądy gminne dostatecznie utrwaliły się w kraju, ludność miejscowa do nich nawykła; zastąpienie tych instytucyj przez sądy pokoju kosztowałoby skarb państwa znacznie więcej. Skutkiem tego uznano za niezbędne: 1) Uregulować system wyborów na sędziów gminnych, nadzór zaś nad ich prawidłowością poruczyć urzędom prokuratorskim. 2) Prezesom zjazdów sędziów pokoju dać prawo głosu doradczego przy zatwierdzaniu ławników przez gubernatorów. 3) Zaproponować gubernatorom, ażeby przedstawiali ministrowi sprawiedliwości do zatwierdzenia wybranych kandydatów na sędziów gminnych, po naradzie z prokuratorem i prezesami zjazdów. 4) Zwiększyć termin służby sędziów gminnych i ławników do lat sześciu. 5) Dać sędziom gminnym prawa służby państwowej. 6) Ustanowić dla nich *census* naukowy co najmniej do wysokości wykształcenia średniego. 7) Zwiększyć ich płacę do 1,500 rs., a uwolnionych skutkiem wyboru innych zostawiać po za etatem, wedle ogólnych przepisów. 8) Ułożyć dla sądów gminnych regulamin o pociągnięciu ławników do bardziej czynnego udziału w sprawach sądu wogóle. 9) Uregulować rewizyę sądów gminnych. 10) Dać pisarzom gminnym prawa służby państwowej. Zdaniem *Warsz. Dn.*, reforma powyższa „poprawi znacznie sądy gminne i wymiar sprawiedliwości na wsi skieruje na tory bardziej zasadnicze, niż dotąd. Zdwojenie terminu służby sędziów i ławników da im więcej niezależności w działaniu tudzież możność dłuższego stosowania praktyki nabytej, co wielce ważną jest rzeczą w razie ponownego wyboru na te urzędy. Nadanie praw służby rządowej i przyznanie sędziom pensyi lepszej zniewoli ich do większego niż dotąd szanowania posad. Wprowadzenie wyższego *censusu* umysłowego jest konieczne, gdyż sędziowie, wyrokujący często kroć w sprawach nader poważnych (szczególnie karnych, pociągających dotkliwe kary), nabierają z biegiem czasu coraz więcej powagi i znaczenia, wobec czego koniecznem jest, iżby najbliższy kierownik takiego sądu był wykształconym i odpowiednio przygotowanym do zajęcia stanowiska. Oczywiście różnica pomiędzy *census* umysłowem sędziego gminnego a ławnika znacznie się zwiększy, ale sprawa wymiaru sprawiedliwości wygrać tylko może na tem, gdyż w sądzie zwiększy się wpływ przewodniczącego, bardziej wykształconego, niż to było dotąd. Sporządzenie regulaminu usunie całkiem przyczyny nieporozumień pomiędzy sędziami a ławnikami i sprawiedliwszy podzieli pracę pomiędzy sędzią a członkami sądu. Wprowadzenie reformy wymagać będzie większych niż dotąd wydatków. Dzisiaj spadają one na większych i mniejszych właścicieli ziemskich, podlegających jurysdykcyi danego sądu gminnego; ale handlujący, przemysłowcy i rzemieślnicy nie płacą nic na utrzymanie sądów gminnych, chociaż korzystają z ich usług na równi z właścicielami ziemskimi. Zwłaszcza korzystają z nich żydzi, mieszkający w obrębie danego sądu lub nawet w miastach.“ Z tego powodu *Warsz. Dniewn.* radzi niewielkie opodatkowanie przemysłu i handlu. Otóż *Słowo* wyjaśnia (w odpowiedzi na artykuł powyższego organu), że podatek taki istnieje. Handlujący i rzemieślnicy, a nawet subjekci płacą na rzecz sądów gminnych w stosunku procentowym do świadectw i patentów handlowych i akcyzowych, przemysłowcy zaś płacą ten podatek w stosunku procentowym do szacunku, w jakim fabryki są ubezpieczone. Podatek płacony przez przemysłowców, handlujących wszelkiej kategoryi i subjektów wpływa w całości do kas skarbowych, tak samo, jak sumy, składane na sądy gminne przez właścicieli ziemskich. Wszystkie te opłaty i podatki idą na pokrycie kosztów utrzymania sądów gminnych. Wydatki te skarb przyjął na siebie od r. 1886, zastrzegając w prawie, że na zwrot tych kosztów zabiera do swych kas opłaty od właścicieli ziemskich w wysokości, sankcyonowanej 1876 i wprowadza nowe opłaty właśnie od przemysłowców i handlujących, tudzież subjektów handlowych i — od sumy akcyi, wytoczonej przed forum sądu gminnego. W budżecie na rok miniony, ogłoszonym w *Prawit. Wiest*, koszt utrzymania sądów gminnych obliczono w sumie 878,950 rs., na pokrycie zaś tej sumy przewidziano ogółem dochodu 934,107 rs.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Zwrócono pilną uwagę na działalność Towarzystw naukowych w prowincyach nadbałtyckich. Władza zażądała szczegółowych sprawozdań o ich celach i zadaniach. (*Now. wr.*).

— Dr. Michał Dąbrowski z Warszawy otrzymał w Teheranie bardzo korzystną posadę inspektora służby zdrowia.

— W Czechach północnych obfite śniegi, spadłe przed paru dniami, poczyniły znaczne szkody i poprzerywały komunikacye.

— Z końcem r. z. ludność Krakowa liczyła 77,144, (56,023 chrześcian 21,121 żydów).

— W Krakowie powstało Towarzystwo opieki nad uwolnionymi więźniami. Cel: „ułatwienie przestępcom powrotu do uczciwego życia przez wyszukiwanie zajęć i środków godziwego utrzymania“ (*Kur. warsz.*).

— W Wiedniu konduktorowie tramwajowi urządzili bezrobocie. Żony strejkujących napadały na tramwaje i spychały woźniców z kozłów.

— Według nowej ustawy paszportowej, świadectwa na zamieszkanie (widy) wydawać będą odpowiednie władze duchowne, nie tylko osobom duchownym wyznania prawosławnego, lecz luterańskiego i ormiańskiego.

— Kelnerzy warszawscy postarali się już o opracowanie ustawy stowarzyszenia. Między innemi zajdą zmiany w napiwkach; będzie ustanowiona stała taksa za usługę. Drugi projekt radzi rzucanie co łaska do puszki i stąd zebrana suma w pewnych odstępach czasu ma być dzielona między kelnerami. Ta druga myśl nazbyt jest naiwna i niepraktyczna, ażeby się mogła utrzymać. Restauratorowie mają być zwolnieni od płacenia pensyi usługującym, a kaucya składana będzie nie w gotowiźnie, lecz w książeczkach instytucyi kredytowych i kas oszczędności. Na wzór terminu różnych rzemiosł, do zakładów restauracyjnych mają być przyjmowani chłopcy, z obowiązkiem uczęszczania do szkół niedzielno-rzemieślniczych lub do szkoły niedzielno-handlowej.

— Towarzystwo oficyalistów prywatnych we Lwowie postanawia założyć kursy dla synów pracowników. Hr. Borkowski złożył na to 2,000 złr. Stowarzyszenie liczy 2,342 członków i uczestników. Majątek wszystkich funduszów wynosi 588,615 złr.

Teatr. Od dn. 19 b. m. na scenie teatru Wielkiego w Warszawie trupa ruska rozpoczęła przedstawienia. Pierwszego dnia odegrano komedyę Grybojedowa „Biada z rozumem.“ Do składu artystów należą znani już z dawniejszych występów pp.: Potocka, Żulewa, Apollonskij, Miedwiedjew, Warłamow, Sazonow, Usaczew.

Szkoły. Postanowiono stworzyć specyalny dozór nad szkołami, pozostającemi pod władzą departamentu handlu i rękodzieł (ośm szkół handlowych, artystyczno-przemysłowych i technicznych, kilka rzemieślniczych dla kobiet, wszystkie niższe rzemieślnicze).

— W Wiedniu posłowie Herold i Kaisl poruszyli sprawę studyów kobiecych, potrzebę gimnazyów dla dziewcząt.

— W Wiedniu poruszono sprawę: czy należy utrzymać przepis, żeby profesorowie uniwersytetu z 70 rokiem życia szli na emeryturę.

Badania naukowe. Ministeryum komunikacyi przeznaczyło 10,000 rs. na utworzenie w r. b. ekspedycyi dla zbadania wahań w poziomie rzek w całem państwie.

— Wiedeńskie pisma rolnicze zachwalają nową roślinę pastewną *Lathyous sylvestris Wagneri*, która jest trzykroć wydajniejsza i pożywniejsza niż koniczyna czerwona. Wagner przez lat 30 uszlachetniał tę roślinę i podniósł jej wartość. Udaje się ona na każdej glebie.

— Z Ameryki wkrótce wypłynie nowa wyprawa do bieguna północnego, której kierownikiem jest współpracownik *Heralda*, Willman.

Zdrowie publiczne. Z powodu ciepła i zbliżającej się wiosny, wzmocniono środki zdrowotne w Warszawie i na prowincyi.

— Dnia 15 marca w Warszawie zachorowały na cholerę trzy osoby.

— W Paryżu szerzy się coraz gwałtowniej epidemia tyfusu.

— W paryzkiej Akademii lekarskiej zwrócono uwagę na szkodliwość kaloryferów o ogrzanem powietrzu tudzież pieców ruchomych ekonomicznych Szuberskiego i jego naśladowców.

Koleje i komunikacye. Na ostatnim zjeździe kolejowym ustanowiono znaczną zniżkę opłaty za przejazd pasażerów, udających się na kuracyę do miejscowości leczniczych na Kaukazie. Taryfa ta obowiązywać będzie od 15 kwietnia do 1 listopada.

— W Petersburgu utworzono stały komitet zjazdów w sprawie komunikacyi wodnych.

— Inż. techn. p. St. Rodakowski, wynalazł nowy zbieracz iskier, zapobiegający pożarom, szerzonym z parowozów. Wynalazca z kilku wspólnikami zakłada fabrykę tego przyrządu w Zurichu.

— Rząd pruski odmówił pomocy w budowie kolei z Ostrowa do Skalmierzyc na granicy Królestwa Polskiego. Interesowani więc postanowili zbudować tę drogę własnym kosztem. Ułatwi ona komunikacyę Kalisza z Ostrowem.

— Budowa kolei Warszawa-Ostrołęka, według *Kuryera warsz.*, przychodzi do skutku. Roboty zaczną się z wiosną r. b. kosztem skarbu.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Wład. Czem. w Nieder-Lindewiese. Do wydrukowanych już artykułów nic więcej nie dodamy, gdyż strona artystyczna powieści jest znacznie słabsza, niż innych utworów tego autora, filozoficzna zaś bądź nie daje materyału do poważnej dyskusyi, bądź (w kwestyach przez Pana wskazanych) nie może być jej przedmiotem.

Prenumeratorce. Najzupełniej słuszną jest uwaga Pani, że Konfucyusz nie mógł być twórcą skostnienia i nieruchomości cywilizacyi chińskiej. Tak wielkie fakty nie zależą od jednej teoryi, ani od jednego, choćby największego człowieka, lecz od mnóstwa czynników — geograficznych, antropologicznych itd. Co do drugiej części listu, nie możemy oddawać głosu w ocenie własnej działalności, przyznajemy się więc tylko do tych celów i dążeń, które Pani zaznaczyła.

Pani A. T. w B. C. Adresu szczegółowego instytucye te nie mają i zresztą nie jest on potrzebny. Wystarczy na kopercie sama ich nazwa.

Pani Reg. P. w Krakowie. Znając rzecz, często nie wiemy, a cóż dopiero nie znając.

Panu W. S. R. „Idylla“ brzmi przeciągniętą nadmiernie struną tragizmu. Natomiast drugi obrazek potrzebuje tylko niewielkiego wygładzenia, ażeby był zupełnie ładnym. Miło nam zaznaczyć, że nie jest Pan autorem dla „kosza.“

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 10 Марта 1894 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.